Joan Greenwood
w filmie: „They knew Mr. Knight"

SIÓDMA WIGILIA

Co roku nadchodzi noc, której się boję równie jak do niej tęsknię, którą kocham tak, jak kochać można tylko to co się okupuje największym cierpieniem. Noc nie zmieniająca się od siedmiu długich lat, podczas których jak w kalejdoskopie zmieniało się wszystko — ziemie i morza, ludzie, domy, drzewa, kwiaty, troski i nadzieje. Ubożały, szarzały te lata, rósł tylko i pęczniał ciężar wspomnień — coraz smutniejszych, coraz droższych — już jedynej niezaprzeczalnej własności. Co roku, tej nocy zatrzymuje się czas, tak, jak w opowieściach o duchach wierne domowe zegary zatrzymują się wtedy, kiedy ktoś umiera.

Kiedy na tarczy nieba wskazówka słońca pochyli się ku szarym, wieczornym godzinom, kiedy zaświeci nad horyzontem jak purpurowa latarnia i nagle zgaśnie — umiera dzień, który na całym świecie nazywa się wigilią. Wtedy staje czas.

Na niebie zapaliła się pierwsza gwiazda, za nią druga, trzecia, dziesięta. Setki, miliony jasnych punkcików świeci tam w górze — aż nagle jakiś podmuch zakołysał nimi, potrząsnął i oto — spadają z góry, płyną wolno, migotliwie, pionowo, bardzo cicho. Padają na ziemię, miękko osiadają na rzęsach, są zimne i mokre.

Pada śnieg.

Śnieg wigilijny jest inny niż ten, przez który trzeba było brnąć po kolana, tej pierwszej nocy, kiedy szłam na Zachód przez biały step, spiesząc do Domu na wezwanie pierwszej gwiazdy. Tamto był wrogi żywioł, kryjący w swojej bieli pokusę śmiertelnego snu, ale już za Podwołoczyskami, kiedy z daleka widać było światła Tarnopola, a tuż za nimi świąteczną, neonową łunę nad Lwowem — śnieg stawał się przyjacielski, miękki i ozdobny, jak szklanna wata, którą tak ostrożnie rozkłada się na gałązkach choinki. Bo wtedy jeszcze była choinka w tym Domu, do którego czarami nocy wigilijnej — wracało serce. Wtedy życzyliśmy sobie, żeby za rok w domu..., wszyscy razem... opłatkiem...

I wierzyliśmy, że nie może być inaczej.

Ale już następnego roku nie było choinki. Nie dała się już przywołać wspomnieniem, ani wyobraźnią — choć w ogromnej świetlicy żołnierskiej sięgał aż pod sufit rozłożysty świerk, obwieszony kolorowymi zabawkami. W Domu było przeraźliwie zimno, w piecu nie paliło się od dawna, a zimy wojenne są podobno zawsze szczególnie mroźne.

Biały opłatek leżał jak krążek światła pośród nas i miał smak Św. Komunii. Na wszystkich twarzach kwitł ten sam odświętnie radosny, choć zakłopotany uśmiech — jak długo oszczędzana, najlepsza suknia.

Za oknami stała noc granatowa, szklanna, odgradzająca nas ścianą ciszy od jutra, w którym czaiło się niebezpieczeństwo, troska i uporczywy, mdlący głód — tęsknota. Cicho śpiewaliśmy kolędę:

„Bóg się rodzi, moc truchleje..."

Było wśród nas dziecinne, ufne bezpieczeństwo Domu, który był i będzie — za rok, na następne Boże Narodzenie, w wolnym Kraju...

Po kątach snuły się mroki — może cienie sprzętów, kołysane migotliwym drżeniem świec, może cienie nadziei, które umarły, może ludzi, o których nie wiedzieliśmy czy żyją. I już odtąd było coraz mroczniej...

Dziwna rzecz stała się z moim Domem. Zawsze był we Lwowie, pod Wysokim Zamkiem. Więc najpierw było to miasto, ulica, dom i ogród. Potem Dom się kurczył — stał się tylko pokojem, w którym byli Oni. Aż nagle, nie wiem kiedy i jak się to stało, może rozkruszyła go bomba, a może sam nie chciał się poddać — bo rozprysnął się w kawałki i już odtąd był wszędzie i nazywał się — Kraj. Ale serce Domu upadło tam, gdzie była Warszawa. Wtedy dogasały już zgliszcza i pierwszy śnieg grudniowy kładł się białym opatrunkiem na rany i oparzeliny.

Myślałam, że nie będzie wigilijnej gwiazdy, nie pozostało przecież ani jedno całe okno, z którego możnaby jej wypatrywać. Pusto było wśród ruin — a lochy piwniczne nie wiedzą nic o gwiazdach...

Tej nocy po raz pierwszy zrodziła się świadomość, że wieczór wigilijny i nie rozerwalne z nim pojęcie Domu stało się już symbolem dawnego życia, wspomnieniem najcięższym rzeczy dawno utraconej, rozbitej, niepowrotnej.

W podziemnych kanałach, w piwnicach, wśród szkieletów dawnych ścian odnalazłam wielu moich Ojców Żołnierzy, wiele siwowłosych kobiet, z których każda mogłaby być moją Matką, wielu moich Braci — młodych, wynędzniałych chłopców, wiele dziewcząt słaniających się z wyczerpania — wszystkie były moimi Siostrami. Gdzie wśród nich byli ci naprawdę moi i czy byli jeszcze — nie wiem. Ta noc wigilijna trwała zbyt krótko, aby można było przemierzyć całą rozpacz i znaleźć nadzieję.

Nie było opłatka, nie było kolędy, dzieci kaszlały, chorzy rzęzili ciężko. Gwiazdy świeciły zimno, metalicznie. Padał śnieg, wilgotniały i obmarzały łachmany.

Gdzieś na południu, w dalekim Betlejem stała stajenka, która miała dach. Woły siwe oddychały ciepłem, pastuszkowie przynieśli dużo chleba...

Od tej nocy już nie można było w to wierzyć tak rzewnie i dziecinnie jak dawniej. Tamto Boże Narodzenie nie mogło zrodzić Miłości świata w ciepłym i sytym Betlejem — chyba gdzieś w ciemnym, wilgotnym załomie piwnicy, wśród kaszlących dzieci — urodził się Bóg, otulony w łachman, głodny i bezdomny. Dziecinnymi oczami z przerażeniem musiał patrzeć na oświetlony daleką łuną, zda się krwią ociekający kamienny krzyż, który ocalał z rozbitego kościoła.

* * *

Nadchodzi siódma noc wigilijna. Znowu czas popłynie wstecz, uniesie serca w przeszłość, zwoła żywych i umarłych i wyczaruje raz jeszcze legendę wigilijnego wieczoru, legendę Domu, który żyje w nas i który nieść ze sobą będziemy przez życie, które poza Polską może być tylko marszem i wędrówką.

Te same będą świeciły gwiazdy nad Warszawą, nad śnieżnymi szczytami Apeninów i na wypukłym niebie wschodniej nocy.

O dobry Boże z dziecinnej pastorałki rzucony w nędzę siódmej zimy wojennej — niech gwiazdy świecą ciepło nad Polską, niech ta noc będzie bardzo cicha, abyś mógł usłyszeć, aby oni wszyscy mogli usłyszeć jak biją nasze serca — kiedy łamiemy się wigilijnym opłatkiem.

Jadwiga Czechowiczowa

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

PARADA

ILLUSTRATED FORTNIGHTLY FOR THE POLISH FORCES

ROK III

NIEDZIELA, 16 GRUDNIA 1945

№ 26 (70)

Warszawa

A jeśli chcesz Go narodzić w cieniu
Warszawskich zgliszcz,
To lepiej zaraz po Narodzeniu
Rzuć Go na krzyż.

(St. Baliński — Kolęda Warszawska)

Właściwie nie rozstaliśmy się z nią nigdy. Unieśliśmy ją z sobą, jak ze zgorzeliska unosi się rzecz najdroższą, najbliższą sercu. Zachowaliśmy ją, utrwalili w pamięci. Dawną, bezpowrotną. Nie wyidealizowaną bynajmniej, widzianą we wspomnieniach podsycanych tęsknotą, a codzienną — ruchliwą, roześmianą, przekorną — różną i jednolitą. Taką, jakim nie jest żadne miasto, nasze ani obce.

Bo Warszawa nosiła dalece odrębny charakter od innych miast i stolic. Warszawa to była dawna i nowa, czasów Zygmuntowskich i Księstwa, Wysockiego i Okrzei, Kostrzewskiego i Oppmana — Polska. Miasto gorącego odczucia i żywej reakcji. Zuchwałych zrywów, kapryśnych sądów, nieskrępowanej fantazji i swoistego humoru. Na nią mierzyło się kraj, na niej odczytywało się jego wzloty i upadki, nastroje, dążenia.

Rozdzieliliśmy się nią jak strzępkami relikwii, bezwartościowej i bezcennej. Strzępami wspomnień. Zwarliśmy w nich jej odrębne oblicza, widziane różnie przez różnych. W powszednim dniu, w doznaniach najgłębszych i w bolesnym momencie jej opuszczenia.

Warszawa monumentalnych budowli i pomników... Średniowieczna Katedra św. Jana, skromnie odsunięta od miejskiego zgiełku, do której półmroku wchodziło się w nabożnym skupieniu, nieomal z lękiem. Kościół św. Aleksandra, odtwarzający londyńską Katedrę św. Pawła, kościół na Krakowskim z Chrystusem, uginającym się nad załłoczonym chodnikiem pod brzemieniem żelaznego krzyża, gotyk ceglastych wież św. Floriana. Książę Józef stępa, w todze senatora, jeżdżący nad Placem, Mickiewicz w roju gołębi, Kopernik zadumany nad globem, Stanisławski przed Operą, obnażony POW'iak, Saper z karabinem u nogi, strzegący Alei Niepodległości.

Kwadratowy rynek Starego Miasta. Średniowieczna ornamentyka, płowiejąca na dostojnych fasadach. Kamienica Baryczków i Fukier z sosnowymi ławami. Kręte, wąskie uliczki i kamienne schody. Zapiecki i Krzywe Koła. Oślizły bruk, prowadzący spadzistcie do Wisły. Do Wisły, w której przeglądało się warszawskie niebo, na której latem kładły się pozłoty, a jesienią żeglowały mgły.

Latem Warszawa stroiła się zalotnie. Mieniły się klomby i trawniki, balkony od pierwszego piętra do mansard zdobiły kwiaty, nawet latarnie — warszawski wynalazek — nosiły patery kwiatów. W Alejach sypał się pył z kasztanów, w Frascati pachniały azalie, w Botanicznym — akacje i jakieś cieplarniane okazy. W Ogrodzie Saskim rozbił obóz tabor wózków dziecięcych. Szklanny pył rozproszkowanego słońca sypał się z fontanny.

A ulica kipiała od ciągłego ruchu. Elegancki, uprzejmy, gadatliwy ludek warszawski przesypywał się po chodnikach. Wytworni mężczyźni, piękne kobiety i pretensjonalne strojnisie z pinczerami w czaprakach. Przed Dworcem Głównym ciżbiły się lśniące wozy i rozdzwonione tramwaje. W kawiarniach, gdzie z kawą łykało się ostatnie nowiny, odbywały się najmilsze spotkania. Ulica rozbrzmiewała krzykiem gazeciarzy, najsprytniejszych gazeciarzy świata, ofiarujących za dziesięć groszy kupę sensacyjnych wiadomości. Górował „Express Poranny" z nieodzownym felietonem Wiecha.

Wieczorami, gdy z praskiego skupiska szły na miasto pierwsze mroki, rzędy latarń Kościuszkowskiego Wybrzeża zapalały się we Wiśle świętojańskimi wiankami. Warszawa płonęła miliardem świateł. Rażony prądem elektrycznym, neon rozedrgał się konwulsyjnie w szklannych floresach i wypisał na granatowej ciemni nocy chwalbę firm. Zapełniały się sklepy, teatry, kina. Warszawa rozpoczynała właściwe życie. Towarzyskich spotkań, kulturalnych zebrań, beztroskich zabaw.

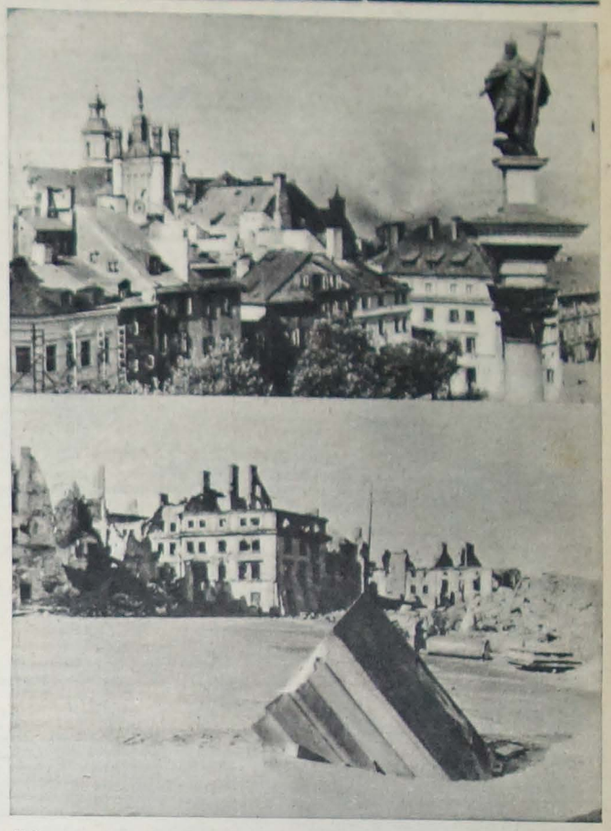

Kolumna Zygmunta — pomnik, który był symbolem stolicy

Plac Trzech Krzyży — kościół św. Aleksandra

Str. 3, 4 i 5: fot. Keystone
Str. 6 i 7: fot. J. Michalski
Str. 8: fot. Mary Mollo
Str. 9, 10 i 11: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 12 i 13: fot. W. Rajkowski
Str. 14 i 15: fot. T. Szumański

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

Ponad 15 tysięcy widzów zapełniło trybuny stadionu

Defilada zawodników

Pchnięcie kulą

Żołnierska Olimpiada

Korespondencja własna „Parady"

Popisy gimnastyczne

mi stadionu. Na Igrzyska przybył Dowódca Korpusu gen. Wł. Anders, generalicja, wyżsi oficerowie brytyjscy, amerykańscy i włoscy oraz wielu gości zagranicznych.

Otwarcia Igrzysk dokonał Dowódca Korpusu. Kilkanaście tysięcy ludzi powstało ze swych miejsc i w kompletnej ciszy, jaka zapanowała nagle na całym stadionie, generał Anders zapalił podaną sobie pochodnię, wręczając ją z kolei ppor. Głowackiemu z 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej, który w Mistrzostwach osiągnął najlepszy czas (11,8 sek.) w biegu na 100 m. Przy dźwiękach Hymnu Narodowego przebiegł on następnie z płonącą pochodnią przez stadion, zapalając nią symboliczny znicz olimpijski, nad którym zatrzepotała na głównym maszcie biało-czerwona chorągiew, w otoczeniu flag: brytyjskiej, amerykańskiej, francuskiej i włoskiej.

Igrzyska rozpoczęła defilada zawodników. Przy dźwiękach „Warszawianki" przeszły przed Dowódcą Korpusu wszystkie zespoły i reprezentacje wielkich jednostek. Na czele szła barwna grupa ochotniczek i żołnierzy w strojach ludowych, która w programie Igrzysk miała odtańczyć szereg tańców.

Po defiladzie 300 uczniów karpackiego gimnazjum i liceum zaprezentowało bardzo efektowną gimnastykę zespołową, bezpośrednio po czym odbył się pokaz wojskowej gimnastyki z karabinem, w wykonaniu karpackiego batalionu saperów.

Do zawodów lekkoatletycznych, jakie odbyły się następnie, stanęli najlepsi zawodnicy Korpusu. W emocjonującym biegu na 100 m przecięli równocześnie taśmę ppor. Głowacki i mistrz Korpusu w tej konkurencji strz. Hojka z czasem 11,9 sek. Bieg na 1500 m wygrał po ciekawym pojedynku mistrz Korpusu na tym dystansie strz. Myszkowski. Sztafetę olimpijską wygrał pewnie zespół Dywizji Karpackiej. Jeśli chodzi o inne konkurencje, to warto wspomnieć o rzucie oszczepem, w którym kpr. Dyka poprawił rekord Korpusu na 42 m 22 cm.

Po zawodach lekkoatletycznych odbył się pokazowy mecz szczypiorniaka, następnie uczestnicy obozu treningowego bokserów, pod kierownictwem wielokrotnego mistrza Polski i olimpijczyka, por. Mokrzyckiego, zademonstrowali zaprawę bokserską, po czym nastąpił pokaz walki dżiu-dżitsu w wykonaniu obozu szkolnego żandarmerii.

Ostatnim numerem przedpołudniowego programu były 2 tańce ludowe, wykonane przez ochotniczki i uczniów karpackiego gimnazjum. Barwne kostiumy tańczących par, tworzące na środku dużego boiska żywy i kolorowy obrazek, oraz pełne swobody i temperamentu wykonanie tańców, przyjęte zostało przez kilkunastotysięczną widownię potężnymi brawami.

Dowódca 2 Korpusu gen. dyw. Władysław Anders przed frontem zawodników

Zwycięzcy przedbiegu na 100 metrów

Gimnastyka wojskowa

Pokaz zaprawy bokserskiej

Po jednogodzinnej przerwie obiadowej nastąpił najciekawszy i najbardziej emocjonujący punkt programu — finałowy mecz piłkarski o mistrzostwo 2 Korpusu między Dywizją Karpacką i Kresową. Wśród nieustannego dopingu widowni mecz wygrała po ostrej grze drużyna Dywizji Karpackiej w stosunku 2:0, zdobywając tym samym mistrzostwo w piłce nożnej na rok 1945.

Program zakończyły zawody pomiędzy 2 zespołami w przeciąganiu liny oraz tańce: polonez, trojak, krakowiak i mazur.

Po zakończeniu programu generał Wł. Anders dokonał osobiście wręczenia nagród indywidualnych i zespołowych zwycięskim zawodnikom i drużynom.

Igrzyska sportowe 2 Korpusu — ta żołnierska olimpiada, jak można by ją nazwać, była nie tylko doskonale udaną imprezą sportową, ale i świętem, manifestacją siły, zdrowia i tężyzny duchowej żołnierzy 2 Polskiego Korpusu. Podkreślił to zresztą generał Anders w swym przemówieniu, jakie wygłosił na zamknięcie Igrzysk, mówiąc m. in.:

„Nie pragnęliśmy na zawodach tych ustanawiać rekordów. Chcieliśmy pokazać i zadokumentować siłę i zdrowie, jakie żyją w sercach i muskułach żołnierzy 2 Korpusu. Po 6 latach wojny, w czasie której przeżyliśmy wszyscy bardzo ciężkie chwile i rujnowaliśmy zdrowie nie tylko na polach bitew, ale w więzieniach i obozach, pokazaliśmy dziś znów, że Polak ma muskuły ze stali i mocną pięść. Każde polskie serce wie, że Polak walczy zawsze do końca. I kiedy dziś na boisku obserwowaliśmy jak zawodnicy walczyli nawet o przedostatnie miejsce, to właśnie to daje nam poczucie własnej mocy"!

Okrzyk na cześć Rzeczypospolitej Polskiej, który Dowódca Korpusu wzniósł po swym przemówieniu — powtórzony potężnym echem przez żołnierzy i Hymn Narodowy, który podchwytuje 15 tysięczna widownia i śpiewa pełną piersią, mówią dobitnie o tej mocy, zamkniętej w sercach żołnierzy 2 Korpusu.

J. WEDOW

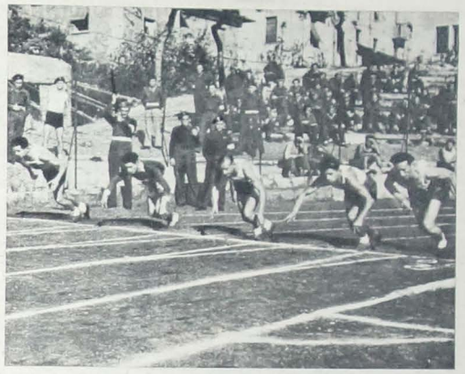

Na starcie 100 metrówki

Skok o tyczce

↓ Pierwsze okrążenie biegu na 5,000 m

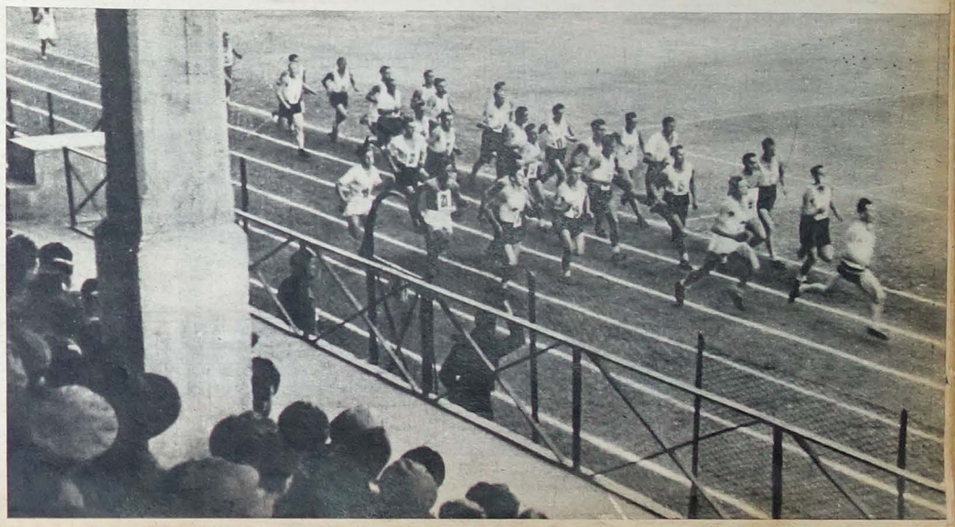

Ponad 15 tysięcy widzów zapełniło trybuny stadionu

Defilada zawodników

Żołnierska Olimpiada

Korespondencja własna „Parady"

Igrzyska Sportowe, jakie odbyły się w Anconie z okazji zakończenia Mistrzostw lekkoatletycznych 2 Korpusu, były prawdziwym żołnierskim świętem sportowym. Ponad 15.000 widzów wypełniło trybuny, udekorowanego flagami stadionu. Na Igrzyska przybył Dowódca Korpusu gen. Wł. Anders, generalicja, wyżsi oficerowie brytyjscy, amerykańscy i włoscy oraz wielu gości zagranicznych.

Otwarcia Igrzysk dokonał Dowódca Korpusu. Kilkanaście tysięcy ludzi powstało ze swych miejsc i w kompletnej ciszy, jaka zapanowała nagle na całym stadionie, generał Anders zapalił podaną sobie pochodnię, wręczając ją z kolei ppor. Głowackiemu z 2 Warszawskiej Dywizji Pancernej, który w Mistrzostwach osiągnął najlepszy czas (11,8 sek.) w biegu na 100 m. Przy dźwiękach Hymnu Narodowego przebiegł on następnie z płonącą pochodnią przez stadion, zapalając nią symboliczny znicz olimpijski, nad którym zatrzepotała na głównym maszcie biało-czerwona chorągiew, w otoczeniu flag: brytyjskiej, amerykańskiej, francuskiej i włoskiej.

Igrzyska rozpoczęła defilada zawodników. Przy dźwiękach „Warszawianki" przeszły przed Dowódcą Korpusu wszystkie zespoły i reprezentacje wielkich jednostek. Na czele szła barwna grupa ochotniczek i żołnierzy w strojach ludowych, która w programie Igrzysk miała odtańczyć szereg tańców.

Po defiladzie 300 uczniów karpackiego gimnazjum i liceum zaprezentowało bardzo efektowną gimnastykę zespołową, bezpośrednio po czym odbył się pokaz wojskowej gimnastyki z karabinem, w wykonaniu karpackiego batalionu saperów.

Do zawodów lekkoatletycznych, jakie odbyły się następnie, stanęli najlepsi zawodnicy Korpusu. W emocjonującym biegu na 100 m przecięli równocześnie taśmę ppor. Głowacki i mistrz Korpusu w tej konkurencji strz. Hojka z czasem 11,9 sek. Bieg na 1500 m wygrał po ciekawym pojedynku mistrz Korpusu na tym dystansie strz. Myszkowski. Sztafetę olimpijską wygrał pewnie zespół Dywizji Karpackiej. Jeśli chodzi o inne konkurencje, to warto wspomnieć o rzucie oszczepem, w którym kpr. Dyka poprawił rekord Korpusu na 42 m 22 cm.

Po zawodach lekkoatletycznych odbył się pokazowy mecz szczypiorniaka, następnie uczestnicy obozu treningowego bokserów, pod kierownictwem wielokrotnego mistrza Polski i olimpijczyka, por. Mokrzyckiego, zademonstrowali zaprawę bokserską, po czym nastąpił pokaz walki dżiu-dżitsu w wykonaniu obozu szkolnego żandarmerii.

Ostatnim numerem przedpołudniowego programu były 2 tańce ludowe, wykonane przez ochotniczki i uczniów karpackiego gimnazjum. Barwne kostiumy tańczących par, tworzące na środku dużego boiska żywy i kolorowy obrazek, oraz pełne swobody i temperamentu wykonanie tańców, przyjęte zostało przez kilkunastotysięczną widownię potężnymi brawami.

Po jednogodzinnej przerwie obiadowej nastąpił najciekawszy i najbardziej emocjonujący punkt programu — finałowy mecz piłkarski o mistrzostwo 2 Korpusu między Dywizją Karpacką i Kresową. Wśród nieustannego dopingu widowni mecz wygrała po ostrej grze drużyna Dywizji Karpackiej w stosunku 2:0, zdobywając tym samym mistrzostwo w piłce nożnej na rok 1945.

Program zakończyły zawody pomiędzy 2 zespołami w przeciąganiu liny oraz tańce: polonez, trojak, krakowiak i mazur.

Po zakończeniu programu generał Wł. Anders dokonał osobiście wręczenia nagród indywidualnych i zespołowych zwycięskim zawodnikom i drużynom.

Igrzyska sportowe 2 Korpusu — ta żołnierska olimpiada, jak można by ją nazwać, była nie tylko doskonale udaną imprezą sportową, ale i świętem, manifestacją siły, zdrowia i tężyzny duchowej żołnierzy 2 Polskiego Korpusu. Podkreślił to zresztą generał Anders w swym przemówieniu, jakie wygłosił na zamknięcie Igrzysk, mówiąc m. in.:

„Nie pragnęliśmy na zawodach tych ustanawiać rekordów. Chcieliśmy pokazać i zadokumentować siłę i zdrowie, jakie żyją w sercach i muskułach żołnierzy 2 Korpusu. Po 6 latach wojny, w czasie której przeżyliśmy wszyscy bardzo ciężkie chwile i rujnowaliśmy zdrowie nie tylko na polach bitew, ale w więzieniach i obozach, pokazaliśmy dziś znów, że Polak ma muskuły ze stali i mocną pięść. Każde polskie serce wie, że Polak walczy zawsze do końca. I kiedy dziś na boisku obserwowaliśmy jak zawodnicy walczyli nawet o przedostatnie miejsce, to właśnie to daje nam poczucie własnej mocy"!

Okrzyk na cześć Rzeczypospolitej Polskiej, który Dowódca Korpusu wzniósł po swym przemówieniu — powtórzony potężnym echem przez żołnierzy i Hymn Narodowy, który podchwytuje 15 tysięczna widownia i śpiewa pełną piersią, mówią dobitnie o tej mocy, zamkniętej w sercach żołnierzy 2 Korpusu.

J. WEDOW

Pchnięcie kulą

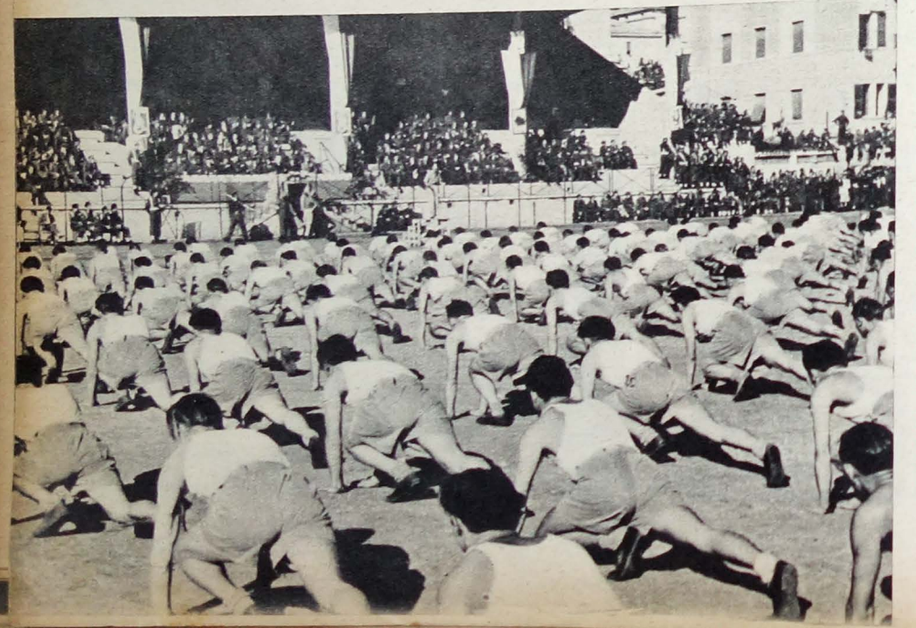

Popisy gimnastyczne

Dowódca 2 Korpusu gen. dyw. Władysław Anders przed frontem zawodników

Zwycięzcy przedbiegu na 100 metrów

Gimnastyka wojskowa

Pokaz zaprawy bokserskiej

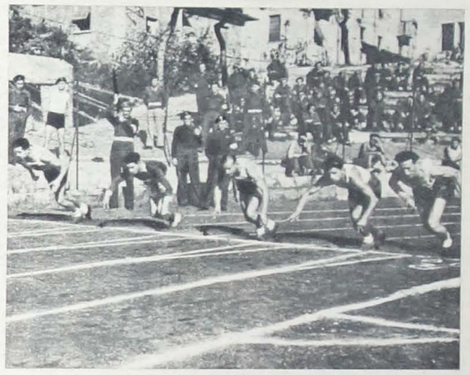

Na starcie 100 metrówki

Skok o tyczce

↓ Pierwsze okrążenie biegu na 5,000 m

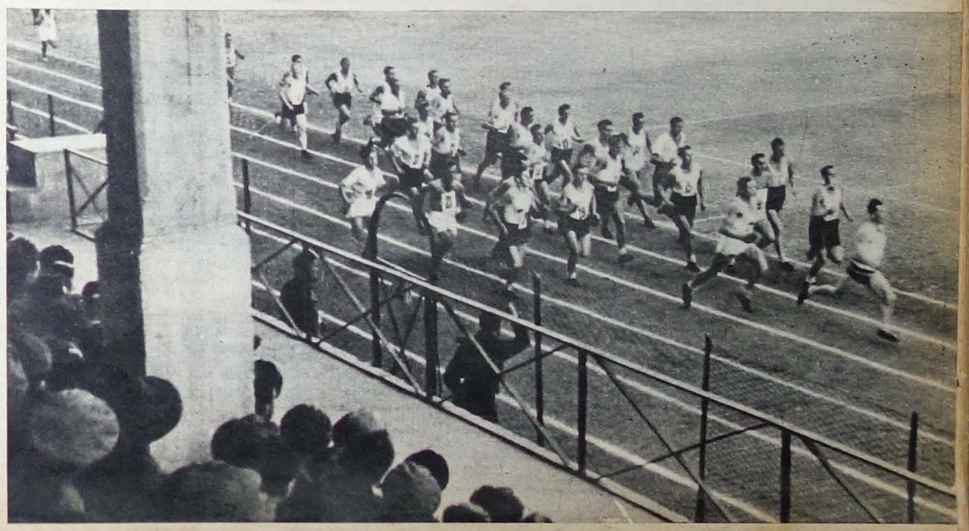

Laborant musi się długo szkolić i nabrać wiele doświadczenia

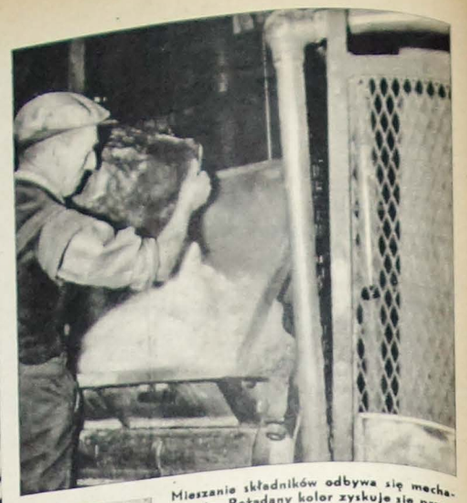

Mieszanie składników odbywa się mechanicznie. Pożądany kolor zyskuje się przez dodanie odpowiedniej ilości farby

PRODUKCJA MASY PLASTYCZNEJ

Śledząc w fabryce, jak z papieru i substancji smolistej wytwarza się masę plastyczną, utwierdzamy się w przekonaniu, że zastąpi ona wiele naturalnych surowców. Rozważania nad przemysłem materiałów plastycznych najlepiej rozpocząć od ustalenia, co pojmujemy przez to określenie. Dlatego najlepiej byłoby mówić: „syntetyczny przemysł plastyku smolistego", czym uniknęłoby się kojarzenia z innym przemysłem, np. metalurgicznym, który także posiada obszerny dział „plastyczny". W czasie wojny przemysł plastyku osiągnął wydatny rozwój przy zaopatrywaniu w przedmioty krótkotrwałej użyteczności. Tajemnica popytu tych wyrobów polega na tym, że plastyk właściwie nie zastępuje żadnego metalu, lecz że występuje w takich odmianach, których właściwości nie posiada żaden naturalny surowiec.

Oglądany przez nas w fabryce blok „drzewa", który powstał z papieru i substancji smolistej nie ma wprawdzie nic wspólnego z drzewem, które imituje, ale bije je „o głowę" pod względem przydatności. Jest to wyborny izolator, używany przy instalacjach elektrycznych. Do jego zasadniczych zalet dochodzą: połyskliwa gładkość, podobna jak u politurowanego drzewa, niezmierna lekkość i piękny wygląd. Aparat telefoniczny — zły przewodnik elektryczności, mocny, lżejszy niż metalowy, nie wymaga emaliowania itd. I dlatego produkuje się plastyk — dla jego zalet, a nie dlatego że zastępuje inne, znajdujące się pod dostatkiem surowce.

Produkcja plastyku rozpoczyna się w laboratorium chemika. Ten selekcjonuje składniki, ustala proporcje, opracowuje metodę uzyskania odpowiedniego wytworu. Zasadniczymi składnikami plastyku — to grupy fenolo-aldehydowe (fenol — kwas karbolowy; aldehyd — alcohol dehydrogenatum — spirytus drzewny), szczególnie używane przy produkcji bakelitu. Dla laika gros tych substancyj chemicznych nie jest do rozpoznania z powodu ich złożonego składu, z wyjątkiem domieszek, takich jak bawełna, trociny (mąka drzewna), papier.

Fabryka powtarza udaną próbę chemika na olbrzymią skalę. W De La Rue Plastics, którą zwiedziłem, mieszanka smolista i domieszki zostają starte na mączkę, potem — ukształtowane w formach przez poddanie temperaturze i ciśnieniu. Pokazywano mi dwa rodzaje produkcji: „termostatyczny", w którym mieszanina zostaje poddana reakcji chemicznej, a wytworzony artykuł nie może już być przekształcony i — „termoplastyczny", w którym mieszanina mechanicznie, nie bez udziału temperatury, zyskuje właściwości plastyczne. Istnieje także trzeci rodzaj — topny, w którym mieszanina zostaje w stanie ciekłym wlana do formy, gdzie krzepnie pod normalnym ciśnieniem.

Z postępem przemysłu wypłynie na świat surowiec przyszłości — plastyk.

David Flockhart

↓ Składniki plastyku, widziane na stole chemika: kawałki żywicy, trociny (mączka drzewna) i płytki substancji chemicznej

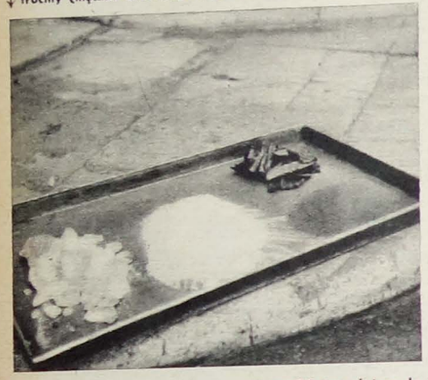

↓ Metoda „termoplastyczna" — mieszanie papieru z odwarem smolistym

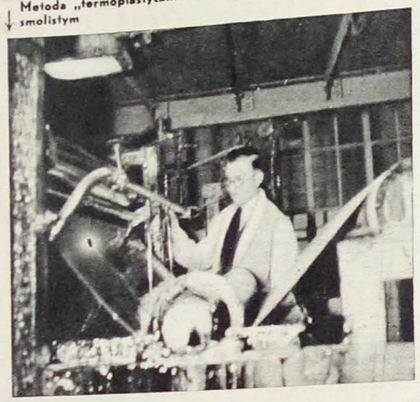

↓ Prasa hydrauliczna, wywierająca ciśnienie 75 ton, służąca do wyrobu aparatów telefonicznych

↓ Polerowanie masy plastycznej

Brunatny koloryt płaskowzgórza, chmury, chłodny wiatr... nastroiły nas „tybetańsko"

WIENIEC Z KIBO

OD SPECJALNEGO WYSŁANNIKA „PARADY" -:- TEKST I ZDJĘCIA: INŻ. WIKTOR OSTROWSKI

W dniu 27 października br., specjalny wysłannik „Parady", inż. Wiktor Ostrowski, członek Polskiego Klubu Wysokogórskiego i uczestnik wypraw badawczych w Andy Argentyńskie i masyw Centralnego Kaukazu, w towarzystwie angielskiego korespondenta p. A. W. Parsonsa, wszedł na szczyt K i b o, będący najwyższym wierzchołkiem masywu Kilimandżaro w Tanganajce. Kibo liczy 5963 m nad poziomem morza i jest o 1145 m wyższy od najwyższego szczytu w Alpach — Mont Blanc. Jest to trzecie polskie wejście na ten szczyt. W zeszłym roku był na nim p. Jerzy Golcz, również członek Polskiego Klubu Wysokogórskiego. Pierwszym Polakiem, a jednocześnie w ogóle szóstym człowiekiem, który dotarł do szczytu, był w roku 1914 profesor Antoni Jakubski.

Niżej podajemy opis wyprawy inż. Wiktora Ostrowskiego.

Bill zaproponował: „Wiktor! Może spróbujemy?"

Słońce wisiało prostopadle nad głową, cień wstydliwie schował się pod naszymi stopami. Spalona na pieprz, spękana ziemia ziała po prostu żarem. Pokraczne, bezlistne — zato kolczaste — krzaki i drzewa buszu nie dawały żadnej osłony. Na niebie ani chmurki, defekt w samochodzie no i humory — naturalnie odpowiednie...

Przez pewien czas z utajoną nadzieją spoglądaliśmy na biały obłoczek uczepiony horyzontu. Może wyrośnie w chmurę? Może nadejdzie i rzuci cień? Ale malusieńka plamka uparcie trzymała się horyzontu. Po chwili dopiero zrozumieliśmy: są to śniegi i lody na dalekim Kilimandżaro.

Wtedy Billowi zrodził się projekt:

— Wiktor! może spróbujemy?...

Czy trzeba przyznawać się, że dwa razy proponować mi tego nie trzeba było. Szybka, ale bardzo „przybliżona" kalkulacja: ile czasu nam to zajmie — dojazd, podejście, samo „wejście", zejście itd. Mniej jak tydzień — ani myśleć! Prócz tego, gdzieś tam wewnątrz człowieka, zakiełkowała niepewność, myśl przykra, bolesna: blisko 6.000 metrów wysokości! Czy aby... po tyfusie, po szkorbutach, po wszystkich tych latach... czy serce, co kiedyś... ale teraz? Czy da radę?...

Trzeba dużo, bardzo dużo po górach pochodzić, i trzeba góry kochać, by zrozumieć bolesność takiej myśli...

Na razie jednak czasu nie mamy. Jedziemy na południe Tanganajki, do naszych osiedli. Może w drodze powrotnej.

* * *

Projekt rzucony raz — puścił głęboko korzenie. Nasi przygodni towarzysze nieraz musieli chyba dziwić się nagłym skokom w rozmowach:

— Bill! ile spodni masz?

— Dwie pary, ale prócz tego i dwie piżamy...

— No to chyba nie zmarzniesz. A skarpetek?

Trzy pary.

— Od biedy jedną parę włożysz na ręce...

Współtowarzysze spoglądali na nas ze zdziwieniem i zamieniali między sobą znaczące spojrzenia. A nam po prostu to Kilimandżaro z głowy nie wyłaziło i kalkulowaliśmy... stan posiadania naszej odzieży. Wszak jeżdżąc po Afryce tropikalnej nie wozi się ze sobą rękawic, ciepłej bielizny i takiegoż ubrania (powiedzmy — wysokogórskiego), potrzebnego jednak na wysokości 6.000 metrów, w lodach...

Nasze „środki ekwipunkowe" były więcej niż skromne, nawet... ani jednego gwoździa w butach! Ale, powiadam, projekt puścił głęboko korzenie i... spróbowaliśmy.

* * *

W hotelu „Kibo", niedaleko Mochy, zorganizowaliśmy nasze „Safari". Trzeba wiedzieć, że biały człowiek podróżuje po Afryce w dość specyficznych warunkach. Na góry wspina się — również. Otóż mieliśmy: kucharza, pięciu tragarzy i... wyobrażam sobie jak kpić będą moi koledzy z Klubu Wysokogórskiego!... mieliśmy „przewodnika". Był naturalnie Murzynem, nazywał się Johanne, nie mówił żadnym językiem prócz jakiegoś tubylczego narzecza i w szerokim uśmiechu pokazywał wspaniałe zęby. Porozumiewaliśmy się doskonale na migi.

Wspomnę przy sposobności, że Johanne (miał z nami dojść do samego szczytu) był znacznie lepiej od nas wyekwipowany wysokogórsko. Ze szczególną zazdrością spoglądałem na jego podkute buty. Przychodziło mi to tym łatwiej, że przez pierwsze trzy dni podchodzenia widziałem te buty na... jego głowie! Z dumą nosił je tak „wysoko" i dopiero włożył ostatniego dnia, przed lodowcem. Takie są już widać zwyczaje murzyńskich przewodników górskich...

* * *

Przez cały pierwszy dzień szliśmy lasem. I to jakim lasem! Nawet posprzeczałem się na jego temat z Billem. On twierdził, że to „las", bo w opisach afrykańskich nigdy nie spotykał słowa

Gdym zobaczył z bliska szczyt Kibo — zrobiło się przykro...

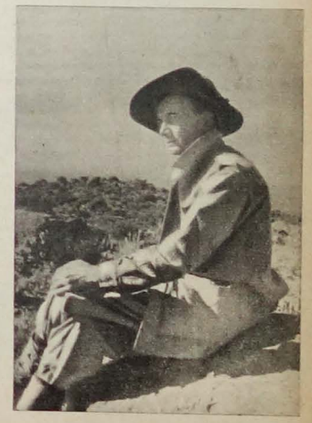

Ustroili nam kapelusze „Wieńcami z Kibo"

Potoki w dżungli zasilały lodowce Kibo

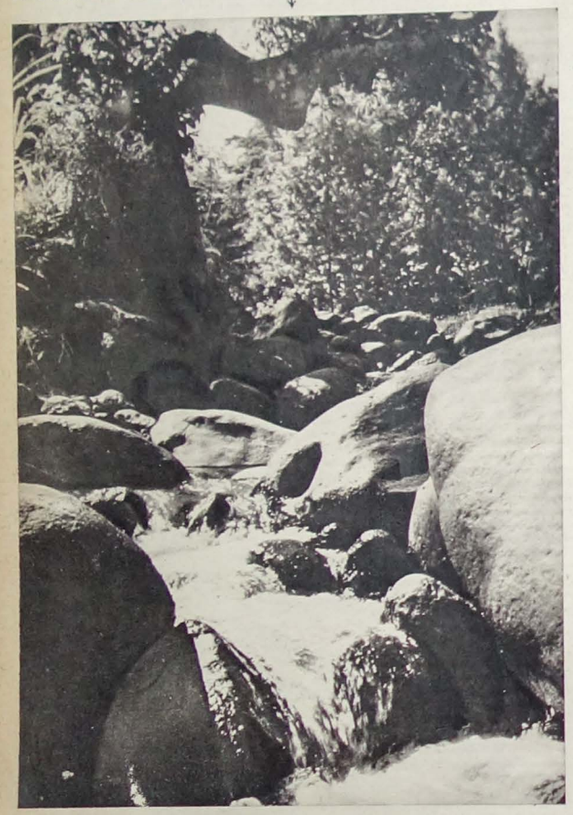

„dżungla" — ja twierdziłem, że mniejszą wartość ma słownictwo opisów skoro przecież sami idziemy przez prawdziwą... dżunglę!

Wędrowaliśmy w jakimś bajecznym, zielonym parku. Na prawo, na lewo zwarta ściana gąszczu splątanego lianami, jakimiś pnączami, tajemnicza i niedostępna. Zielone sklepienie zamykało się nad nami. Słoneczne promienie z trudem przebijały się przez niego i rzucały rzadkie, migotliwe plamy. Z gałęzi olbrzymów zwisały jakieś bajeczne, zielono-srebrzyste brody mchu. Pachniało wilgocią, chodziło coś tajemniczego po gąszczu, szurszało pod nogami. Przedzieraliśmy się tak ładnych dwadzieścia parę kilometrów.

Nocowaliśmy w chatce Klubu Górskiego. Miała wdzięczną nazwę: „Bismarck Hut"! Zaraziłem się widać tolerancją od Anglików, bo, mimo obrzydliwej nazwy — spałem w niej doskonale.

Następny dzień — znowu las — dżungla, a potem wędrówka przez krzaki. Coraz niższe, coraz rzadsze, aż przechodzące wreszcie w alpejskie łąki. Wysoko już było.

Kto nie zna alpejskich łąk, nie podziwiał bogactwa ich kwietnego kobierca, nie wędrował pachnącym zielskiem sięgającym czasami powyżej ramion — ten nie potrafi zrozumieć naszych zachwytów. Przez tę bajeczną krainę szliśmy znów parędziesiąt kilometrów.

By nie nudzić Czytelnika wyliczaniem naszego „kilometrażu" — powiem odrazu, że w tej wojnie człek „zmotoryzował się", czyli po prostu — oduczył się chodzić. No i ten drobny szczegółik, że „droga" bynajmniej nie była „równinna" a kończyła się na wysokości blisko... 6.000 metrów!

Drugą noc spędziliśmy na wysokości 16.500 stóp, co po przeliczeniu na metry daje 4.000 z ogonkiem, a w efekcie namacalnym... zamroziło nam nocą wodę w pobliskim strumieniu. Murzyni-tragarze marzli i malowniczo zawijali się w koce, ale nasz „przewodnik", onże szczęśliwy posiadacz jedynej pary podkutych butów — furt wędrował na bosaka.

Trzeci dzień wędrówki — dalej stepem alpejskim, upiększonym gdzieniegdzie dziwaczną rośliną-drzewem „senecio". Kaktus — nie katus, palma — nie palma, a na czubku coś w rodzaju rozwiniętej głowy kapusty. Wysokie to na parę metrów i pień gruby a mocny. Botanikiem niestety nie jestem, więc tylko fotografuję.

Z siodła-przełęczy odkrywa się wreszcie pełny widok na najwyższy szczyt masywu Kilimandżaro — Kibo.

Spojrzałem i... zrobiło mi się cholernie przykro. Na taki szczyt — w swoim życiu „wysokogórskim" jeszczem nie właził. Obły stożek wygasłego wulkanu. W miarę stromy, ale taki... nie do wspinania się, a do wchodzenia na nogach. Ścięty szczyt-krater. No i dopiero tam lód. Błyszcząca czapa spełza z jednej strony (pd. zach.: na wysokość 14.700 stóp, z drugiej — zaledwie 17.800 stóp.

Określiłem tego olbrzyma krótko, lapidarnie i wcale nie poetycko: krowa! Przyjrzawszy się jednak dokładnie zboczu — zaniepokoiłem Billa proroctwem, że właśnie tam będzie nasza „Kalwaria".

* * *

Do podnóża stożka Kibo wędrowaliśmy płaskim, wulkanicznym plateau, dzielącym Kibo od drugiego, znacznie niższego, ale zato bardziej malowniczego szczytu masywu Kilimandżaro — Mawenzi.

Plateau równiutko zasypane zbitym popiołem wulkanicznym. Brunatno-czerwony koloryt całego krajobrazu, pustynia upstrzona miejscami czarnymi głazami które kiedyś, przed swoją śmiercią, Kibo raczył wypluć, wysokość, którą nawiasem mówiąc, już zaczęliśmy zlekka odczuwać (byliśmy wszak powyżej... wierzchołka Mont Blanc'u!), wszystko to nastroiło mnie, że tak powiem, „tybetańsko". Wrażenie potęgowały chmury, dziwacznymi mgłami wlokące się naokoło, i sznur zmarzniętych tragarzy. Nieśli na głowie już nie tylko bagaż, ale i wodę, i drzewo. Dalej była tylko skała i popiół wulkanu.

* * *

Zanocowaliśmy u samego podnóża stożka szczytowego w dziwacznej budce-schronisku tegoż Klubu Wysokogórskiego. Parę prycz, metalowy piecyk no i... książka z nazwiskami tych, co szczęśliwie dotarli do szczytu, lub... niesławnie zawrócili ze zbocza.

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że aczkolwiek amatorów wejścia na Kibo jest dużo (Najwyższy szczyt Afryki, panie tego!!!), ale są nawet tacy, co zawracają już... z miejsca naszego drugiego noclegu! Są tacy, co rezygnują właśnie w tej „Kibo Hut", część daje za wygraną na zboczu szczytowym, znacznie mniej dociera do brzegu krateru, do tak zwanego Gilmans Point, a już zupełnie niewielu jest takich, którymby się chciało („chcieć" na tej wysokości to duża rzecz) okrążyć krater jego brzegiem (około 3-ch kilometrów) i jeszcze wejść na sam „naj, naj, najwyższy" czubek, co ma dźwięczną — a jakże „miłą" uchu polskiemu nazwę — „Kaiser Wilhelm Spitze".

Póki nasz kucharz, o złowieszczo brzmiącym imieniu — Fatali, walczył z dymiącym piecykiem i pitrasił coś lekkiego, (apetytu na tej wysokości absolutnie niema!) — znalazłem w tej książce niezrozumiały dopisek:

— Jakie szczęście, że zaczyna się wspinać w nocy! Gdybym za dnia widział tę „drogę", ten „scree"... za żadne skarby świata nie skusiłbym się próbować wejść!...

„Scree"? Co to jest? Moja znajomość angielskiego nie obejmowała tego słowa. Mój przyjaciel, rodowity Anglik, również nie wiedział, ale co to jest w rzeczywistości — mieliśmy możność dowiedzieć się jeszcze tej nocy.

Podchodziliśmy cudownymi łąkami alpejskimi...

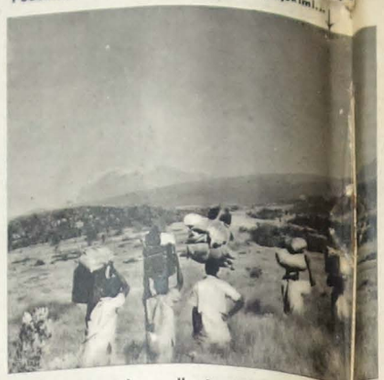

Zasypane popiołem wulkanicznym plateau urozmaicały „wyplute" kiedyś przez Kibo głazy

...drzewo — nie-drzewo, kaktus — nie-kaktus, a na czubku taka kapusta... 10 metrów wysokie „senecio"

Głębię krateru Kibo wypełniały cielska umarłych lodowców

Trudno mówić o spaniu na tej wysokości. Aklimatyzacji wszak nie mieliśmy. Było zresztą bardzo chłodno nawet mimo otulania się kołdrami z małpich skór, które nasi dzielni tragarze na łepetynach swoich donieśli.

* * *

Wyruszyliśmy o godzinie 2-giej w nocy. Przewodnik, Bill i ja. Tragarze zwinięci w dziwaczny kłębek grzali się własnym ciepłem i dziurawymi kocami. Księżycowa noc była tak widna, że postacie nasze rzucały ostry cień. Mróz był solidny. Na oko określam — 15—20 stopni. Na sobie mieliśmy... wszystkie piżamy, koszule i spodnie. Te ostatnie, niestety, tylko płócienne. Tam daleko w dole, jeszcze w hotelu, udało się nam zresztą zdobyć skórzane rękawice i ciepłe czapy chroniące uszy. Głupio wszak byłoby odmrozić sobie te części ciała w... Afryce Tropikalnej!

Mimo jednak tak „solidnego" ubrania — zęby dzwoniły nam co się zowie. Rozgrzać się szybkim marszem? Łatwo powiedzieć! Serce gwałtownie protestowało przeciwko każdemu szybszemu ruchowi! Wysokość 5 — 6 tysięcy metrów oznacza: bardzo rozrzedzone powietrze a przede wszystkim brak tlenu! Wlekliśmy się!

I wreszcie zobaczyłem, a raczej wymacałem nogami ten tajemniczy „scree"!

Był to głęboki i diabelsko sypki popiół wulkaniczny.

Chodziłeś, Czytelniku, po sypkim, głębokim piasku? I nogi Ci się nie zapadały do kostek? A teraz wyobraź sobie, że ten piasek jest taki stromy, że sypie się ze zbocza, a wszystko to dzieje się na wysokości pomiędzy 5-cioma a 6-cioma tysiącami metrów. I to właśnie jest owe „scree"...

Nie będę opisywał tej części drogi. Zresztą, o czym tu pisać? O tym cholernym zmęczeniu, o tej Kalwarii? Serce wbiło gdzieś w gardło, w oczach latały czerwone płachty. Czy napisać, że rzygaliśmy ze zmęczenia? Brzmi to trywialnie i wcale nie efektownie. Było jednak prawdą i nie wstydzę się do tego przyznać. Tak samo prawdą — jak i to, że mimo wszystko szliśmy wyżej i wyżej. Przeklęty „scree" kląłem w duszy — głośno nie, bo niepotrzebny wysiłek, i z niepokojem wsłuchiwałem się w szalone kołatanie serca. Wytrzyma maszynka?...

W płóciennych ubraniach (mimo piżam i szeregu koszul!) zmarzliśmy tak, że dosłownie gotów byłem modlić się do pierwszych promieni słońca. Ukazało się nam jak... doszliśmy do brzegu krateru, na Gilmans Point. Nie wiem, czy ze złości na ten „scree", czy ze względu na upór, ale weszliśmy na Kibo w... rekordowym czasie. Nie 6, czy 8, czy nawet 10 godzin jak „stojało" w książce, a w 4 godziny i 15 minut!

A potem okrążaliśmy krater. Szliśmy zaczarowanym światem zamarłych lodowców, w oślepiającym, zielonkawym blasku wśród dziwolągów przyrody górskiej — „stalagmitów" lodowych, tak zwanych „nieve penitentes", co kiedyś w dalekich Andach Argentyńskich podziwiałem, a które tylko tym dane jest oglądać — co zajdą w górach bardzo wysoko.

Był to groźny i martwy świat, tak jednak mi bliski i kochany. Stałem się jak gdyby młodszy o kilka czy też więcej lat, odżyły stare wspomnienia. Nawet mróz jakby mniej dokuczał — choć jeden aparat zamarzł na fest i odmówił posłuszeństwa. Na dnie krateru stały kolosalne „trupy" lodowców, poeci powiedzieliby — zamczyska, prozaicy — „bochny chleba" lub „kawałki tortu", ale takie... pareset metrów długie, na kilkadziesiąt wysokie. Naokoło nich — brunatna lawa. Gorące gazy ze szczelin uśpionego wulkanu, tak zwane „fumarole", wytopiły lód naokoło. Przed zrobieniem zdjęcia muszę odczekać parę minut, by serce do porządku doprowadzić i zwalczyć drżenie rąk...

O godzinie 9 stanęliśmy na tym sławetnym czubku „Kaisera Wilhelma". Nic nadzwyczajnego. Ot! wyższy o parę metrów! Ale był naszym celem! Szczyt! Stała się rzecz niesłychana we współczesnej Afryce: przewodnik-Murzyn wyciągnął do mnie rękę! I znów — rzecz niezwyczajna — z przyjemnością i serdecznie tę czarną rękę uściskałem! Szczyt!

Co czułem na szczycie? Czy zachwycałem się widokiem, czy byłem dumny z wejścia na niego? Nic podobnego. Byłem kiedyś na szczytach znacznie wyższych i wspinałem się na góry co kształtem swoim cud katedr gotyckich przypominały... nie taką... „krowę"! Ale teraz byłem szczęśliwy. Egoistycznie, samolubnie, ale szczęśliwy! Serce mimo tych tam tyfusów, szkorbutów i lat ciężkich nie nawaliło, wytrzymało! Będę jeszcze góry zdobywał! Piękny był dzień...

* * *

W dwa dni później, na dole, zgotowano nam owacje. Z kwiatów łąk alpejskich tragarze-Murzyni uwili wieniec i kapelusze nasze przystroili. Jest to piękny zwyczaj miejscowych szczepów: ten co dotarł do szczytu Kibo — schodzi w doliny kwiatami ustrojony, niesie na głowie „Wieniec Kibo"...

A schodząc łąkami i po przez mrok dżungli myślałem o... pierwszym Polaku co lat trzydzieści temu do szczytu dotarł, o profesorze Antonim Jakubskim. Ustanowił on wtedy, na Kibo właśnie polski rekord wysokości. I przypomniałem sobie jak to po powrocie z And, po pobiciu tego rekordu o przeszło 1.000 metrów, miałem odczyt na Uniwersytecie w Poznaniu. A w pierwszym rzędzie siedział wtedy profesor Jakubski i do Niego mówiłem...

Nie wiem, czy za czasów Jego wejścia był już zwyczaj „Wieńca Kibo", czy on wtedy wracał w doliny ustrojony, ale wiem o innym „szczycie" przez Niego zdobytym. Wiem, że po długich latach pobytu w niemieckich obozach koncentracyjnych, po całym koszmarze tej katorgi przyszedł do nas. Nie złamany, nie zmęczony i łaknący „odżycia" a młody jak zawsze duchem, pełen zapału i energii. I natychmiast zaczął rozglądać się za polem do pracy!...

To jest „Szczyt"! Wyższy nieskończenie od Kibo, i trudniejszy stokrotnie.

A „Wieniec z Kibo" przechowuję pieczołowicie. I wiozę daleko, by... pozwoli Pan, Drogi Panie Profesorze... by wręczyć Panu. I jako wspomnienie z dawnych lat, i jako „Wieniec Kibo" za szczyt, za „rekord"... trudny do pobicia...

Stalagmity lodowe — spotyka się je tylko w Andach, na Pamirze i... na szczycie Kibo

Szliśmy w cieniu zielonkawych lodowców...

MECZET AL-AZHAR
TWIERDZA ISLAMU

WITOLD RAJKOWSKI

Kopuła i minarety meczetu Al-Azhar

Wśród instytucyj, jakie sie znajdują w Kairze i czynią z tego miasta prawdziwe centrum i serce świata arabskiego, a nawet islamskiego Wschodu w ogóle, na pierwszym miejscu trzeba wymienić Meczet Al-Azhar, siedzibę największej obecnie uczelni religijnej muzułmańskiej.

Meczet Al-Azhar — „Kwitnący" — został wybudowany w roku 973 przez Gohara (właściwie Dżauhara), zdobywcę Egiptu, wodza wojsk fatymidzkiego kalifa Moizza, założyciela „Zwycięskiej" Al-Kahira. Niezwykły ten człowiek, którego pełne imię brzmiało Dżauhar Ibn Al-Husain Al-Katib As-Sykylli, był właściwie niewolnikiem swego władcy, co— zgodnie z panującymi na Wschodzie stosunkami — nie przeszkadzało bynajmniej pełnieniu wysokich godności. Nie tylko jednak był wodzem fatymidzkich hufców, ale także poetą, uczonym i — świętym... Jak mówi jego imię, urodził się na Sycylii, czy też tylko stamtąd został przywieziony na dwór Fatymidów, z pochodzenia bowiem był przypuszczalnie Słowianinem.

Gami Al-Azhar początkowo był tylko miejscem modłów, ale już w roku 998 kalif Al-Aziz uczynił zeń siedzibę uczelni religijnej i rolę tę pełni on do dzisiaj. W ciągu swego długowiecznego istnienia wielki meczet przechodził oczywiście liczne przeobrażenia, był odnawiany i rozbudowywany przez rozmaitych władców i rządców Egiptu, a największe zapewne w tej dziedzinie zasługi położył w XVIII wieku Abdur Rahman Katchoda, który powiększył sanktuarium świątyni blisko o połowę.

Już z zewnątrz Al-Azhar przedstawia się imponująco. Nie tyle ze względu na swe rozmiary, meczety bowiem Sułtana Hasana i Ar-Rifai przewyższają go ogromem, ile dla owej średniowiecznej powagi i wzniosłości, jaką tchnąć się zdaje. Front meczetu ma w sobie coś z fortecy dzięki owej surowości szarych murów, wyzębionych w fantastyczne blanki. Podwójna brama, ozdobiona płaskorzeźbami, wśród których zdaleka odróżnić można zielone cyprysy—symbole Życia — prowadzi do wnętrza, a trzy różnego kształtu minarety wznoszą się dokoła dwóch kopuł meczetu.

Wchodząc do świątyni zwiedzający znajdzie się na ogromnym, prostokątnym dziedzińcu („sahn"), obramowanym portykami o marmurowych kolumnach. Drewniane przepierzenia umieszczone obecnie między kolumnami, nie pozwalają zajrzeć z dziedzińca wgłąb Sali Modłów, gdzie marmurowe słupy tworzą istny las, podtrzymujący dach sanktuarium. Posadzka wysłana tu jest czerwonymi dywanami, ofiarowanymi przed kilku laty przez króla Faruka. Część Sali Modłów ma podłogę wyższą o jeden stopień — to nowsza część meczetu wybudowana przez Abdur Rahmana Katchodę. Boczne drzwi z lewej strony prowadzą poprzez niewielką, dość ciemnawą salkę do izby grobowej Dżauhara, który spoczywa pod małym nagrobkiem z białego marmuru, ozdobionym na rogach czterema gałkami. Cicho tam i dziwnie podniośle pod ozdobioną stalaktytami kopułą, przez której okienka, zaopatrzone w piękne kolorowe witraże, niewiele tylko przecieka światła, rozpraszając nieco mrok w tym miejscu wiecznego spoczynku zwycięskiego wodza i świętego.

Przez wieki całe Al-Azhar był największą w świecie siedzibą muzułmańskiej wiedzy religijnej, ale stopniowo chyli się już ku upadkowi. W dziewiętnastym wieku, gdy Chedyw Ismail starał się uczynić z Egiptu „cząstkę Europy" — jak sam się wyrażał — średniowieczna uczelnia była w zupełnym upadku. Madrasat Al-Kada (Szkoła Sędziów) i Dar Al-Ulum („Dom Wiedzy" — rodzaj seminarium nauczycielskiego) założone w Kairze, stały się ośrodkami tych nauk, które dawniej miały swą wyłączną siedzibę w Azharze. Nadszedł nawet dzień, w którym studenci tłumnie opuścili odwieczne mury... Fakt ten do tego stopnia jednak zaalarmował opinię publiczną w Egipcie, że rząd wyznaczył komisję, której zadaniem było zbadanie sytuacji uczelni i jej reorganizacja. Od tego czasu Azhar zaczął stopniowo powracać do zdrowia. Ogromne zasługi w dziele jego odrodzenia położył Muhammed Abdu, wielki mufti Egiptu, słynny modernizator muzułmański. Ostateczne swe uzdrowienie i obecną pozycję w świecie Islamu Al-Azhar zawdzięcza królowi Fuadowi I oraz zmarłemu niedawno rektorowi Szeichowi Muhammedowi Mustafie Al-Maraghi. Król Fuad wydał kilka dekretów, na których podstawie przeprowadzono całkowicie nową organizację uczelni. Pradawny meczet Dżauhara choć pozostał niejako jej sercem i od niego wzięła ona swą nazwę — Al-Gamia Al-Azharia („Uniwersytet Azharski"), przestał być siedzibą jej istotną, znalazła bowiem swe pomieszczenie w nowych wielkich gmachach w nowoczesnym stylu.

Uniwersytet Azharski dzieli się na trzy wydziały czyli „kullijat": teologiczny („usul ad-din" — właściwie „źródeł wiary"), prawa kanonicznego („asz-szaria") oraz języka arabskiego („al-lugha al-arabija"). Nauka na wszystkich tych wydziałach trwa po cztery lata. Poza tym od uniwersytetu są uzależnione dwa kursy niższe (początkowy i średni), mające charakter przygotowawczy. Nauka na tych niższych kursach trwa także po cztery lata, a program ich jest zbliżony do stosowanego w szkołach średnich. Na wydziały Uniwersytetu Azharskiego można być także przyjętym po uzyskaniu zwykłej świeckiej matury. Studenci „kullijat", po złożeniu z wynikiem pomyślnym egzaminów końcowych, otrzymują „świadectwo wyższe" („asz-szahada al-ulja"), które ich upoważnia do wstąpienia na jedną z „sekcyj specjalizacji" („kysm at-tachassus"), związanych z poszczególnymi wydziałami. Z „kullijat aszszaria" związana jest więc „sekcja specjalizacji w zawodzie sędziowskim" (kysm at-tachassus al-kada), z wydziałem teologicznym — sekcja specjalizacji kaznodziejów itd.

Misterna płaskorzeźby zdobią główną bramę meczetu Al-Azhar

Sanktuarium meczetu w dni powszednie służy za salę wykładową

Obok nowego Uniwersytetu Azharskiego egzystuje dalej tysiącletnia blisko wszechnica, mająca swą siedzibę w meczecie Dżauhara, zwana obecnie „Zakładem Kairskim" (Maahad Al-Kahira), podobne bowiem gałęzie znajdują się także w kilku innych większych miastach Egiptu. Wszechnica ta w ostatnich latach utraciła jednak wiele swych praw i obecnie jest przeznaczona prawie wyłącznie dla obcokrajowców, którzy po ośmiu latach studiów, mogą tu uzyskać „świadectwo świeckie" (asz-szahada al-ahlija), a po dalszych czterech latach — „świadectwo uczonego" (asz-szahada al-alamija), dające prawo do tytułu „alim" (teolog).

Azahar jest bowiem ośrodkiem wiedzy religijnej, do którego dąży nietylko młodzież egipska, pragnąca się kształcić w naukach koranicznych, ale także liczne rzesze muzułman innej narodowości — Syryjczyków, Irakczyków, mieszkańców Hedżazu i Nedżdu, muslimów indyjskich, Indonezyjczyków, Chińczyków i wielu, wielu innych. Przed wojną było nawet kilku Polaków, z których jeden — Ali Ismail Woronowicz został później imamem warszawskim.

Studenci Azharu są podzieleni na grupy zwane „riwakami". W swym początkowym sensie „riwak" oznaczał tylko część meczetu przeznaczoną dla studentów na mieszkanie. W Meczecie Al-Azhar owe riwaki przedstawiają się jako małe przeważnie, dość ciemne izby po północnej i południowej stronie centralnego dziedzińca. Ponieważ w każdym riwaku łączono studentów pochodzących z tego samego kraju, stopniowo stał się on synonimem sekcji narodowościowej i podstawą administracyjnego podziału rzeszy studenckiej. Obok riwaków związanych z poszczególnymi prowincjami egipskimi — jak Riwak As-Saaida (przeznaczony dla mieszkańców Górnego Egiptu) lub Riwak Asz-Szarakua (przybyszów z prowincji Szarakija) istnieje cały szereg sekcyj, w których grupowani są studenci zagraniczni. A więc mamy tu Riwak Al-Atrak (riwak Turków), Al-Mogharba (marokański), Al-Haramain (Dwu Miast Świętych — Mekki i Medyny), Al-Hunud (indyjski), Al-Gawa (jawajski), As-Sennarija (sudański) i inne.

Riwaki są zabytkiem z dawnych czasów i w nich może najlepiej zachował się stary duch Azharu. Do niektórych należą tak zwane „takkije", mające charakter czyniący je podobnymi zarazem do domu studenckiego i do klasztoru. Taką właśnie jest Takkija Muhammed Bey Abu Dahab, w której przed wojną obok Turków, Czerkiesów, Albańczyków i Bośniaków, zamieszkiwali studenci polscy.

Na czele każdej sekcji narodowościowej stoi przełożony noszący tytuł „Szaich ar-riwak". Przełożonym riwaku tureckiego jest Szaich Abdul Hajmd Tahir, wielki przyjaciel Polaków.

Studenci należący do poszczególnych riwaków, pobierają z nich miesięczne dotacje, pochodzące z dochodów z przeznaczonych na ten cel dóbr czyli „wakfów". Wysokość tych stypendiów zależy nie od stanu majątkowego studentów, ale od środków materialnych jakimi dana sekcja rozporządza. Najbogatszymi są riwaki turecki i marokański, które płacą należącym do nich studentom po 4 funty egipskie miesięcznie. W najuboższych riwakach takie stypendium nie przekracza 60 piastrów.

Dziedziniec meczetu Al-Azhar

Nowe gmachy, w których mieszczą się wydziały Uniwersytetu Azharskiego

Gmach sekretariatu uczelni Al-Azhar

Studenci Azharu

Sposób prowadzenia wykładów na wydziałach Uniwersytetu Azharskiego nie odbiega od wzorów europejskich, ale w dawnej wszechnicy mającej swą siedzibę w meczecie, zachował się do dziś system sprzed wieków. Profesor zasiada tam nie na katedrze, ale na krzesełku ustawionym pod jedną, dowolnie wybraną z kolumn sanktuarium, a dokoła na zasiedających posadzkę dywanach, grupują się w malowniczych pozach jego słuchacze.

Na czele uczelni stoi Szaich Al-Akbar („Największy Szaich") inaczej zwany Szaich Al-Gami Al-Azhar, mający do pomocy Areopag Wielkich Uczonych („Ihia Kubar Al-Ulama"), złożony z 30 członków. Aby zostać członkiem areopagu trzeba mieć conajmniej 50 lat życia i od piętnastu lat być profesorem na Azharze. Szaich Al-Akbar prezyduje w dwu radach, które bezpośrednio kierują losami uniwersytetu, zwanych „Maglis Al-Aala" (Rada Najwyższa) i „Maglis Al-Idara" (Rada Administracyjna). Do ich składu wchodzą członkowie Areopagu Wielkich Uczonych oraz przedstawiciele rządu egipskiego.

Wygląd fortecy jaki ma Meczet Al-Azhar nie jest tylko zewnętrznym pozorem. Tysiącletnia blisko uczelnia religijna to naprawdę twierdza ducha Islamu tak samo żywotnego jak za czasów Salah Ad-Dina, Kait-Baya czy Abdur Rahmana Katchody. Stąd wiedza koraniczna promienuje na wszystkie kraje świata gdziekolwiek mieszkają wyznawcy Allaha i Jego Proroka...

Niestety mimo wszelkich odnowicielskich usiłowań, mimo nowoczesnej organizacji Uniwersytetu Azharskiego, w średniowiecznych murach zachowało się jeszcze sporo — właśnie średniowiecza... Niektórzy Azharczycy — choć oczywiście nie wszyscy — patrzą na różne sprawy życia nietylko z punktu prawa religijnego jak tego należy od nich oczekiwać, ale jeszcze patrząc na to prawo przez okulary sprzed trzech stuleci... Niewątpliwie jednak wielu zarówno profesorów jak uczniów jest ożywionych innymi ideami, a poza tym wysiłki osób kierujących państwem egipskim iść się zdają po linii odrodzenia Azharu nie tylko w sensie reorganizacji administracyjnej, ale także przez odnowienie jego ducha. Tymczasem zaś Azhar, pozostając siedzibą nauk teologicznych i prawa koranicznego, jest zarazem strażnicą czystości arabskiego języka.

Azhar jest także potęgą w świecie politycznym. Nie tylko dlatego, że wiedzą Koranu promienuje na cały świat muzułmański wskutek czego wszystko co się w jego murach dzieje odbija się echem bardzo szerokim w okolicznych krajach, ale także przez swój wpływ na politykę wewnętrzną Egiptu. Studenci Azharu interesują się nią żywo i czynny w niej udział biorą na sposób właściwy akademikom całego świata. I tych z nad Nilu i tych z nad Wisły cechuje jednako zapalczywy patriotyzm i tak samo mają gorące serca jak głowy... Wielotysięczna zaś rzesza „talaba" azharskich, pochodząca z szerokich warstw ludności egipskiej, ma wśród ludu posłuch ogromny.

Zarówno król Faruk jak jego ojciec król Fuad I położyli wielkie zasługi wobec uczelni i zawdzięcza im ona niezmiernie wiele. Dlatego to Azhar jest podporą autorytetu królewskiego. Podporą o wiele, wiele potężniejszą niż jakiekolwiek polityczne stronnictwo...

Król Fuad I założył w Kairze także uniwersytet świecki, noszący dziś jego imię (Gamia Fuad Al-Auwal). O ile jednak Azhar jest uczelnią wyłącznie religijną muzułmańską o tyle Uniwersytet Króla Fuada jest zwykłym wyższym zakładem naukowym nowoczesnym na wzór europejski, kształcącym lekarzy, prawników, filozofów etc. Pozatym podczas gdy na Al-Azhar są przyjmowani wyłącznie muzułmanie, na uniwersytecie świeckim kwestia religii nie jest brana pod uwagę.

KARPACKICH ŚW. HUBERT UŁANÓW

Zastępca Dowódcy 2 Korpusu gen. dyw. Szyszko-Bohusz na biegu myśliwskim w Pułku Ułanów Karpackich

Nie ma chyba kawalerzysty i myśliwego, a obie te rzeczy zwykle się łączą, który na myśl o zbliżającym się święcie Huberta nie westchnie, dawne wspominając czasy. I choć jesień tutejsza tak samo liściem nam sypie, jak tam i choć słońce tu nie skąpsze jak nasze złote jesienne — to nie to samo. Są ci, co mówią, że polowanie na czołg lepsze jak na dzika, że więcej daje emocji patrol poprzez pola minowe, niż nocne podchodzenie głuszca wśród topielisk. Są ci, co mówią, że na „jeepie" łatwiej kark skręcić jak na koniu i że na motorze dalej można skoczyć.

Być może, ale to nie to samo. Dlatego św. Hubert wielu ma wyznawców, którzy jego specjalnej polecają się opiece wierząc, że nie dopuści, by jego święto obchodzić przestano. A któż je będzie obchodził, jak nie polscy ułani. Dlatego dzień tego patrona pieczołowicie wszędzie jest czczony.

W Pułku Ułanów Karpackich święto odbyło się w niedzielę, dn. 4.XI przy udziale licznie przybyłych gości z Z-cą Dowódcy Korpusu gen. Szyszko-Bohusz na czele. Cechował je tak dla Pułku charakterystyczny nastrój swobody i tradycji.

W pięknym parku Villi Conti powitano przybycie gości starodawną pieśnią: „Hej hej, do kniei", po czym nastąpiło krótkie przemówienie o św. Hubercie dla niewtajemniczonych, a dalej bieg za lisem pieszo dla najmłodszych ułanów Pułku. Po udekorowaniu zwycięzcy grupa gości i oficerów Pułku siada na koń. Tak — „na koń" — nie „na jeep'y". Wprawdzie nie jest tych koni wiele, bo tylko jedenaście, ale zwyczajowi stanie się zadość— bieg za lisem konno odbędzie się. Jest wielkie poruszenie wsród widzów, padają różne doskonałe rady, koło Oficera Technicznego cała gromadka — a czy zanotowany, a przepisy drogowe, a czy jest „license driving horses"? Za Dowódcą Pułku kawalkada rusza, by wkrótce zniknąć z oczu na krętej dróżce.

Uwaga, na chwilę odwrócona, wraca do przemiłych towarzyszek obchodu święta. Muzyka skocznie przygrywa, więc nic dziwnego, że za chwilę coraz to więcej par puszcza się w tany. Ale oto okrzyk „wracają". Wśród skupienia trębacze ogłaszają „Hallali". Pani C. dekoruje konie „flow" i — niespodzianka: Dla jednego z jeźdźców, rtm. Z., znanego miłośnika koni wogóle, a szkockich siwków w szczególności — piękny medal z podobizną „White horse'a. Za czym do stołów bigosem zastawionych, gdzie przy whisky i gin'ie (gdzież te nasze starki, żubrówki, nalewki?) języki się rozwiązują, wspomnienia i „myśliwskie historyjki" pozwalają myślą przenieść się wstecz.

Godnie wystąpił pułkowy zespół muzyczny. Konkurował z Pułkową Rozgłośnią i bodajże wziął miejsce pierwsze. Dobra muzyka, piękne otoczenie parku stworzyły doskonałe tło drugiego konkursu — Panie z P. S. K. versus Signoriny. Kto miał powodzenie większe orzec trudno. Miły nastrój, doskonała harmonia wskazywałyby raczej: nierozegrana.

T. M.

Jeleń św. Huberta w Pułku Ułanów Karpackich

Przypinanie koniom szarf po biegu w Pułku Ułanów Karpackich

↑ Bigos myśliwski

I KRECHOWIECKICH

Szarfy zdobią zwycięskie konie Krechowiaków

Na cudnych, lesistych wzgórzach nad jeziorem Augustowskim pędzi barwny korowód jeźdźców wśród listowia, malowanego wszystkimi barwami polskiej jesieni. Migają amarantowe otoki czapek ułańskich, czarne kostiumy amazonek, białe spodnie jeźdźców cywilnych, tu i ówdzie ognistą plamą zaświeci w słońcu czerwony frak, oślepi oczy promień, odbity w polerowanej stali strzemienia.

Długim wężem wysuwają się z lasu jeźdźcy, zwartą masą koni, walących rytmicznie kopytami w nagrzaną jesiennym słońcem ziemię, falą młodych ciał, jednym ruchem pochylonych nad grzywami koni przewalają się przez łączkę, by po chwili zniknąć w czeluści leśnej drożyny.

Taki bywał co roku bieg św. Huberta w Augustowie, drogim wspomnieniu wszystkich starych Krechowiaków miejscu postoju pułku w wolnej Rzeczypospolitej. Dziś czasy te wydają się tak dalekie, choć to przecież zaledwie sześć lat nas od nich dzieli. Wiele się zmieniło. Śliczne, bystre i wierne koniki ułańskie zeszły z placu wobec straszliwej przewagi ognia i żelaza. Cudne lasy i jeziora Augustowskie nadsłuchują z dala czy nie słychać jeszcze łoskotu silników i chrzęstu gąsienic, zwiastujących, że idą nareszcie amarantowi ułani, by wypędzić najeźdźcę świętej Puszczy Augustowskiej, w której kryje się jeleń św. Huberta.

Rzucił los ułanów na tułaczkę po coraz to nowych, obcych i dziwnych miejscach. Gdziekolwiek by jednak nie byli w dniu św. Huberta, wśród piasków pustyni, czy winnic Italii, obchodzą zawsze z jednakim umiłowaniem ten dzień, który jak żaden inny przenosi ich myślami tam, daleko, za siódmą górę i za siódmą rzekę, gdzie teraz snują się w powietrzu nitki babiego lata, gdzie liście złocą się i czerwienią tak jakoś pięknie jak chyba nigdzie indziej na świecie.

W tym roku Ułani Krechowieccy mieli wyjątkowe szczęście. Stary park przy zamku Castel S. Pietro stanowił śliczne tło do urządzonych w dniu św. Huberta gonitw. Dęby, klony i kasztany złociły się prawie tak, jak... w Polsce.

Pogoda dopisała, jak na zamówienie — było nawet trochę za ciepło. Goście wojskowi i cywilni zjechali się tłumnie i zostali rozstawieni na mchem porosłych schodach zamczyska, skąd doskonale mogli widzieć start, finish i niektóre fragmenty biegów — pierwszego i następnych, które składały się na pierwszą część programu. „Bieg za lisem" na piechotę jest, nawiasem mówiąc zupełnie zgodny z tradycją kawaleryjską. Należał on do uświęconych zwyczajów szkoły kawalerii w Grudziądzu, gdzie młodzi adepci odbywali co roku w dzień św. Huberta trudny bieg pieszy za lisem.

Nowością był bieg motocyklowy, który wypadł bardzo efektownie, jeźdźcy na stalowych wierzchowcach wykazali prawdziwie ułańską brawurę, forsując trudny teren w tempie, przyprawiającym patrzące signoriny o przyspieszone bicie serduszek.

Po zakończeniu biegów drużyny ustawiły się do wręczenia żetonów. Trębacze zagrali kawaleryjski marsz, a dwaj masztalerze wyprowadzili osiodłanego konia, do którego uzdy właścicielka zamku przypięła pęk wstążek „flow", symbol uznania zasług konia w tej dziedzinie sportu.

Po rozdaniu nagród nastąpił ostatni bieg — gości do bigosu, dymiącego na stołach w parku. Polski bigos, podlany w miarę angielską whisky i włoskim koniakiem zakończył tę piękną uroczystość.

MICHAŁ SIEMIRADZKI

Publiczność z zainteresowaniem obserwuje przebieg biegu w P. Ul. Krechowieckich

Po biegu Krechowiacy otrzymali żetony pamiątkowe

Start biegu motocyklowego w dniu św. Huberta w P. Ul. Krechowieckich

Tradycyjny bigos u Krechowiaków

POLSKI NURT

Jadwiga Czechowiczówna

Ukazała się nowa antologia poezji żołnierskiej, gromadząca utwory poetów 2 Korpusu z okresu walk na ziemi włoskiej. Antologia walki nosi tytuł „Nasze granice w Monte Cassino").*

Fakt, że wśród książek wydawanych w warunkach wojennych dla żołnierza jedną z najpoważniejszych pozycyj stanowią liczne tomiki wierszy, świadczy nie tylko o tym, że wiele ludzi pisze, lecz także o tym, że żołnierz chętnie czyta wiersze, że poezja tej wojny nie znużyła go; a przeciwnie jest mu potrzebna.

Jest rzeczą zastanawiającą jak bardzo ta wojna wyzwoliła poezję.

Wydaje się, że dużo dogodniejsze warunki dla rozwoju twórczości pisarskiej towarzyszyły pierwszej wojnie światowej, która dziś wydaje się niemal humanitarna i rycerska w porównaniu z żywiołem zniszczenia i brutalnym realizmem potworności tej wojny. A jednak o ile tamta dała życie stosunkowo nielicznym utworom poetyckim, które zdobyły sobie prawo przetrwania w literaturze pod nazwą Poezji Legionowej, o tyle wojna obecna otworzyła istne tamy przepotężnemu nurtowi poezji żołnierskiej.

Możnaby przypuszczać, że zjawisko to tłumaczy dostatecznie prawo kontrastu, że brutalna rzeczywistość wywołuje chęć ucieczki w abstrakcyjne pojęcia piękna, artyzmu, w subtelność liryki, która stanowi odpoczynek dla skołatanych nerwów, tak jak przerwa w akcji pozwala upajać się ciszą na polach bitwy. Być może, że biorąc rzecz bardzo ogólnie — tak jest, a nawet lektura wydanych podczas wojny, skromnych tomików żołnierskiej poezji angielskiej mogłaby nas utwierdzać w tym sądzie. Aby jednak ocena wartości, jaką ma poezja dla żołnierza polskiego stała się pełniejsza, a jej powodzenie bardziej zrozumiałe, wystarczy porównać jakikolwiek tom żołnierskiej poezji angielskiej z wyżej cytowaną Antologią.

Żołnierze 8 Armii wydali mały zbiór wierszy p. t.: „Poems from the Desert". Spośród 27 zawartych w nim wierszy może znajdziemy trzy bliskie swoim duchem polskiemu czytelnikowi—reszta stanowi albo wierszowane notatki, jakby z dziennika podróży, obiektywne, pozbawione refleksji relacje widzów, albo wiersze okolicznościowe czy patetycznie propagandowe. Na ich podstawie nie można wyrobić sobie sądu o tych ludziach, a wie się tylko, że dzielnie bili się w Afryce, nienawidzili Niemców, tęsknili do domów, a egzotykę Wschodu traktowali jako godną widzenia „curiosity".

Gdy się porówna te wiersze żołnierskie, pisane na jednym szlaku i w identycznych warunkach bojowych, trudno nie odczuć głębokiej między nimi różnicy. Nie chodzi o to, które z nich mają większą wartość literacką, jedne i drugie zrodziła wojna, jedne i drugie linie tylko otwierają nowy rozdział literatury, ale stają się materiałem, z którego w przyszłości będzie się czerpać prawdę o naszej epoce.

Zasadniczą cechą, która odróżnia żołnierską poezję polską od angielskiej, jest jej charakter problemowy i równoczesna intymność. Nasza twórczość poetycka w tej wojnie nie wiedzie luksusowego żywota na marginesie codziennej rzeczywistości. Aby się o tym przekonać, wystarczy uważnie przeczytać Antologię Walki. Poezja polska nie jest krainą ucieczki dla zmęczonych serc i umysłów, jest cząstką życia codziennego z wszystkimi jego radościami i smutkami, nadziejami i zwątpieniami. Obejmuje całą ogromną gamę odczuć i problemów nurtujących żołnierza-człowieka, na których zgłębienie i przeanalizowanie nie ma częstokroć czasu w rozgwarze bitwy, które jednak domagają się wypowiedzenia i nazwania, bo wszystkim są wspólne.

Być może, iż przyszłemu historykowi kultury żadna powieść, żaden zbiór reportaży, czy plik dokumentów wojennych nie powie tyle o żołnierzu 2 Korpusu, co ta skromna książeczka wierszy. W momentach wielkich przełomów dziejowych szybko zacierają się ślady wielkich czynów, gasną blaski bohaterstwa i szarzeją wielkie imiona, ale trwa i buduje ciągłość to właśnie, co wojna spycha poza nawias życia—najgłębsze ludzkie umiłowanie, tęsknota i wiara.

Poezja żołnierska nie tylko formułuje nakazy bojowe, zagrzewa do walki czy jest orędowniczką idei, ale także wypełnia luki, jakie z konieczności powstają w przeżyciach żołnierza na wojnie, utrzymuje równowagę pomiędzy rzeczywistością frontu a rzeczywistością życia. Ponieważ zaś rzeczywistość polska nie ma sobie podobnej, więc i polska poezja nosi wyraźne cechy odrębności.

Rzeczywistość nasza przyczynia się do tego, że tak wiele jest tych luk do zapełnienia, że poezja musi raz po raz przerzucać pomosty nad przepaściami krzywd, zwątpień, zawodów i tragedii, musi niejako wbudowywać w przestrzeń i w czas świat, który lata wojny i rozłąki odbierają nam z nieubłaganą konsekwencją faktów, równie nie uznawanych jak prawdziwych.

Żołnierz angielski, któremu w długie frontowe noce marzy się domowy kominek, twarze bliskich i bezpieczna atmosfera „home" wie jednak, że jutro dostanie list, a w przerwie akcji może nawet urlop do domu. Nic dziwnego, że wiersz w takim momencie odtwarza jedynie nastrój chwili, bardzo ludzki, a jednak różny o całą głębię tragicznego przeżycia, jaką w podobny tematycznie wiersz, wkłada żołnierz polski, któremu te słowa są nie tylko drogą do utraconego domu, ale i domem samym i rodziną i Ojczyzną.

Z drugiej strony, myliłby się bardzo, ktoby sądził, że poezja żołnierska tej wojny spełnia jedynie rolę czarodziejskich okularów, przez które widzimy świat utracony, wyidealizowany tęsknotą i upiększony miłością. Tak niewątpliwie nie jest. Choć poetyckie patrzenie na otaczającą nas rzeczywistość, nie pomija żadnej okazji, aby przywołać w pamięci drogie obrazy z przeszłości, to jednak nie tylko nie zamyka oczu na teraźniejszość, lecz przeciwnie otwiera je do bolu szeroko, w poezji tylko właściwy „rozumny szałem" sposób.

I tutaj poezja nie daje jakiejś gotowej recepty czy przepisu w tej najboleśniejszej sprawie naszej rzeczywistości, nie wypełnia żadnego „programu" mającego na celu podniesienie „morale" żołnierza i nie bierze za punkt wyjścia owego oficjalnego morale grupy żołnierskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Antologii Walki nie znalazł się ani jeden wiersz, któryby sięgając poza samą walkę, w ciszę tragicznego dla nas zwycięstwa zachował ten brawurowy, zespołowy, programowy niejako ton. Zwycięskie boje 2 Korpusu mają swoje wspaniałe, pełne uniesienia wiersze, wiejące jak sztandary polskie na szczytach zdobywanych miast. Ale polska tragiczna rzeczywistość „pokoju" znajduje swój wyraz w poezji, która schodzi w ciszę samotnych nocy żołnierskich, staje się najbardziej intymna, jak rozmowa przyjaciół o tym co boli, co wyzwala człowieczy bunt, krzepnący za dnia w zaciętą wolę przetrwania. Poezja uświadamia żołnierzowi, że jego ludzka krzywda i troska nie jest klęską, na którą nie ma rady, ale głęboko polską tragiczną prawdą, o którą się bijemy na przestrzeni całej naszej historii i bić się będziemy nadal. To nie jest hasło, ani odezwa, ani nawet żołnierski nakaz zrodzony chwilą—to jest polska racja istnienia, prawda wspólna żołnierzom Legionów Dąbrowskiego i ich prawnukom z 2 Korpusu.

To co rodzi gorzki bunt, musi być wypowiedziane:

Wolność, braterstwo, równość, żąda
prawdziwych poświęceń...
Lecz co znaczy dziś wolność? Tiurmy,
więzienie i stryczek...
Równość? Co się dziś liczy? Tylko
trzy siły, nic więcej...
Czym jest dzisiaj braterstwo? Targiem
o Polski granice...

Pisze Bolesław Kobrzyński, a inny poeta Mirzwiński w wierszu „Modlitwa Krymska" mówi:

Idziemy pod batem pręgierzy,
Z obliczem czystym i dumnym —
Śmieszni, uparci żołnierze
Prawd nierozumnych.

Idziemy przez kłamstwa parzące,
Donkiszotowi rycerze,
Lecz pozwól nam, Boże, do końca
Tak samo wierzyć.

Wreszcie najbardziej gorzko maluje los polskiego żołnierza Olechowski w „Elegii o żołnierzu tułaczu":

Idź, gdzie nogi poniosą. Niech
serce stężeje w kamień.
Krew jest siejbą głęboką i Boże
znaczą ją losy.
To jest twój w ziemię rzucony,
nieubłagany testament...

Ten krwawy i gorzki testament polskości przekazywany z pokolenia w pokolenie, znajduje swój głęboki wyraz w poezji żołnierza 2 Korpusu, tego, który walczył od pierwszego, aż po ostatni dzień wojny i odnosił sławne na cały świat zwycięstwa.

Mówimy często, że historia się powtarza. Nasza polska historia powtarza się szczególnie tragicznie. Wciąż zaczynamy od nowa, powstajemy z gruzów, odradzamy się i raz po raz spływamy krwią. A przecież na przestrzeni wielu pokoleń i wielu wojen, nie zmieniły się ani na jotę dla nas te prawdy, za które musimy się krwawić, aby wolno nam było nimi żyć. Prawdy te są w naszej krwi i w naszej poezji i to zapewnia im trwanie wieczne, bez względu na ofiary, jakimi żołnierzowi przychodzi je okupywać.

Zadanie żołnierza jest proste. Wierna jego losowi poezja formułuje je słowami Wierzyńskiego:

Nie ma innego pochodu,
Skroś tej zawiei, co nas zatapia:
Przeszła piechota, wróci piechota,
Przeszła bateria, wróci bateria
Na Via Appia.

Może wiele jeszcze przed nami takich pochodów, może długo jeszcze proste szosy na północ będą łudziły, jak fata morgana, może długo jeszcze ziemię rodzinną będzie nam musiała zastąpić poezja, bo jeśli prawdą jest, że dziś żołnierz Ojczyznę nosi w plecaku — to jest ona zapisana na kartkach żołnierskich wierszy. Ta sama poezja, która zrodzona w walkach tułaczych Legionów Polskich na ziemi włoskiej, rozbrzmiewa nam dziś wiecznotrwałą prawdą: „Jeszcze Polska nie umarła, Kiedy my żyjemy!".

*) „Nasze Granice w Monte Cassino"— Antologia Walki — opr. Jan Bielatowicz. Bibl. „Orła Białego" — Rzym 1945.

Nr 17 (część I) WYKAZ OSÓB POSZUKIWANYCH

Centrala Poszukiwań PCK (Polish Forces M. E. 55) ogłasza siedemnasty kolejny Wykaz Osób Poszukiwanych, (cz. I), przy czym wyjaśnia, że, pierwsze nazwisko oznacza osobę, dla której Centrala Poszukiwań

posiada wiadomość,

drugie nazwisko osobę, od której wiadomość została nadesłana.

Dla: Od:

ADAMCZEWSKA Wanda, 1915-17 Cieniewicz Jerzy
Adamiak Edward, Paweł, Wilhelm Adamiak Herbert
Adamiak Jan, 1900 Olech Jan
Adamiec Emil, 1921 Spyra Feliks
Adamiec Konstanty, 1915, Piotr, l. 25 Adamiec Bolesław
Adamowicz Adolf Zajkowski Orzegorz
Adamowicz Bronisław Adamowicz Jan
Adamowicz Władysław Kuryluk Adela
Adamus Jan ks. Socha Franciszek
Affenkraut Jakub, 1907, Mozes 1878 Affenkraut Samuel
Aganowska Wanda, l. 23 Minczyn Antoni
Albin Iberla z N. Sącza Albin Dona

BACZYŃSKA Olga, 1913 z d. Kołyniak, Nadzieja 1938, Stefania 1923 Baczyński Piotr
Beck Irma-Irenaa, 1906 z d. Malanowska Olszewski Jerzy
Bekieta Józefa ur. Nienadowicze, zam. Skrendziewicze, pow. Słonim wojew. Hryb Józef i Michał
Nowogródek
Biblin Ester, ur. 1893 Grodno, c. Daniela i Chaji, zam. Grodno-Białystok, Biblin Daniel
Orzeszkowej 35-A
Bobolo Katarzyna, zam. Kędzierzawce, Milatyn Nowy, pow. Kamionka Strum. Bobolo Jan
Bochenek Halina Antonina, 1925, c. Jana i Feliksy Bochenek Jan
Bogatko Jan, 1935 Bogatko Jerzy
Bożałek Czesław Bożałek Stan. i Dąb Miecz.
Brański Mieczysław, 1919 Brański Henryk
Brzezina Paweł, 1897 Skalny Karol
Brzezińska Katrzyna, 1914 Brzeziński Henr.
Brzeziński Marian Wiśniewski Bernard
Brzozowski Adam, 1916, Jerzy 1919 Brzozowska Jadwiga
Brzozowski Jerzy, Zofia, 1908, Michał, 1906, Andrzej Datta Skrzydlewski Zygm.
Bubiłek Feliksa, z. Tomasza, Mirosław, i Łucja, dz. Tomasza Bubiłek Tomasz
Buchta Maria, 1920, Herbert, 1944, Eryk, 1912, Ryszard, 1925 Borowski Teofil
Budin Gerszon, lat 37 Budin Masza
Budziński Franc., 1894 Bąk Marian
Bugalski Jan, 1916 Komorowski (Bugalski) Stan.
Bujok Jerzy, 1914 Bujok Henryk
Bulczak Dora, 1922 Bulczak Józef
Bułdyk Dymitr, 1882, Klaudia, 1884, Aleksander, 1926, Mikołaj, 1930, Antoni, 1930, Nadzieja, 1909, Bułdyk Mikołaj
Bura Stan., 1915, Teresa, 1938, Waleria, 1940, Stefan, 1911 Bura Jan
Burek Józef, 1918 Burek Józef
Bury Józef, Istebna, pow. Cieszyn Bury Ant.
Burzyńska Maria, 1906, Aleksander, 1903-4 Burzyński Antoni
Burzywoda Klara, 1914 Burzywoda Paweł
Büchner Edward, lat 60, Maria, l. 50, Barbara, 1921, c. Edwarda i Marii Büchner Stefan
Byłeń Barbara, 1914 Boruch Konstanty
Bzdawka Tadeusz, ;Henryk, Szamotuły Jeziorny Czesław
Bzdyr Michał, lat 30 Bzdyr Anna

CHMIELEWSKA Maria Magdalena, l. 39, Ryszard Kazim., l. 14, Antoni, lat 45, s. Jana i Franciszki Chmielewski Jan
Chodorowska Emilia, lat ok. 48-49 Chodorowski Aleksander
Cygan Maria, 1924 Cygan Rozalia
Czaczka Adolf, l. 61, s. Stanisławy Czaczka Helena
Czepil Dionizy, 1874 Chapel Peter

DĄBROWICZ Wanda Józefa z d. Maruniak Dąbrowicz Bolesław
Danelski Sylwester, 1899, z Poznańskiego Danelski Edmund
Datta-Skrzydlewska Waleria, lat 64 Datta-Skrzydlewski Zygmunt
Dąbrowski Alfons, zam. Łąkosz, pow. Nowe-Miasto, woj. Poznańskie Nowicki Franciszek
Degler Władysław, l. 19 Degler Leon
Dembek Halina, l. 24 Makowski Konrad
Dembiński Zygm., 1905, z Grójca Dębiński Jan
Demczuk Jan, 1913, zam. w. Kotelnia Podmiejska, pow. Brześć n. B. Androsiuk Paweł
Demel Eleonora, lat 48, Maciej, lat 22, Juliusz, lat 24 Demel Franc.
Dolatowski Henr., 1923 Dolatowski Norbert
Dreszer Wilhelm Karol, 1911 Dreszer Józef
Duchnowski Kazimierz, s. Leopolda Duchnowski Leopold
Dziedzic Janina, 1900, Danuta, 1924, Krystyna, 1922 Świca Wanda

Dla: Od:

EBER Bolesław Wolberg Wład.
Edmund Otton, s. Adama i Marty Kajnik Marta
Eichler Franc., 1923 Eichler Józef
Ejsmont Maria, 1917 Ejsmont Alfons
Ejzman Abram i Gabriel Ejzman Mojżesz
Ekiert Florian, 1918, Ekiert Stanisł.
Ember Stefan Witkowski Wilhelm
Enerlich Tadeusz, 1908 Mykietyn Wanda
Espoziło Lena Łukasiewicz Rene Włodz.
Etienne Irena, 1909 Chyliński Edward
Etmański Franc., lat 43, Ignacy, 1909 Etmański Leon

GACKOWSKI Jan z Łowinka Gackowski Henryk
Gajdanowicz Anna, lat ok. 27, zam. Widze Kirkiłło-Stacewicz Julian
Galbierczyk Wojciech Galbierczyk Franc.
Galej Tadeusz, 1928, Zofia z matką Szperkiewicz Jerzy
Gapski Jan, 1915, Sosnowiec Gapski Roman
Gens Judes, 1925, Wilno Gens Szloma
Głowa Henryk, 1925, Jerzy, 1904 Głowa Zenon
Głuchowska Janina, 1911, Dolina Głuchowski Zdzisław
Głuszek Stan., 1908, Radom Głuszek Leon
Gniazdowska Anna, 1914 Gniazdowski Jerzy
Godlewska Maria z d. Rakowska, 1907 Godlewski Kazim.
Godlewska-Hermanowska Lucja, 1875 Godlewski Kazim.
Grocholski Andrzej, lat 20, Irena, l. ok. 23 Grocholska (matka)
Grochowicz Aleks. Tadeusz, ur. Ordek Jag. Grochowicz Józef
Grymaszewski Jerzy, 1927 Grymaszewski Adam
Ouńko Władysł., 1889 Ouńko Mikołaj

HAJOK Paweł Hajok Hubert
Halama Norbert, 4.IV 1926 Stempor Jan
Halman Jan, 20.IV 1924 Wilczewski Jan
Hanusik Antoni, 1920, Katowice Hanusik Zygfryd
Haracz Jan i Roman Haracz Edward
Hazezlak Rudolf Hazezlak Elżbieta
Hełm-Pirgo Michał, inż., lat ok. 59 Hełm-Pirgo Marian
Herman Fryderyk, 3.8 1916, Radlin brat Józef
Krefta Wład.
Herman Leon
Hermann Maria z d. Figas, 1909 Hermann Franc.
Hess Emil, 4.X 1920, Ludwik 1.X.24 Hess Antoni
Heyman Leon, lat 29 Heyman Marian
Hlawka Ludwik Kreft Robert
Hoffman Józef Rozmysłowicz Stan.
Holcman Franc., 4.X 1890 Holcman Edwin
Hryb Józef, 1888 Hryb Józef i Michał
Hyjek Jan, 1891, Mielec Hyjek Eugen.

IBERLA Albin z N. Sącza Dona Albin
Idzikowski Dyonizy, 1912 Marks Bolesław
Ignatowicz Kazim. Lachowicz Zygm.
Ilłek Czesław, 1912, Karol, 1910 Moniuszko Piotr
Iltis Beno Iltis Fela
Iłguć Orasylda, ok. 1875, Monika, 1906, Franc., 1911, Paweł, 1908 Iłguć Jan
Imianowski Franc., 1919, Józef 1908, Leon, 1924, Michał, 1911 Imianowski Jan (brat)
Iwanicka Halina, lat 30 z Białegostoku Zdrodowski Tadeusz
Iwanicki Antoni, 1909, s. Feliksa i Marii Iwanicki Zbigniew
Iwanowicz Stan. 1908, s. Anieli i Tomasza Iwanowicz Janina
Iwaszczuk Mojsiej, 8.IX 1909 Iwaszczuk Stef.
Izdebska Lucyna, 1920, Wanda, 1917, Zofia, 1926, Zuzanna, 1929, Andrzej-Bogusław, 1939, Henryk, 1932, Józef, lat ok. 68, Tadeusz-Bolesław, 1923, Izdebski Stanisław

JABŁOŃSKI Roman, s. Michała i Katarzyny Jabłoński Leonard
Jackowska Anna, 1913, Halina-Danuta, 1930, Wanda, 1925, Zofia, 1890, Ryszard, 1923, Władysław, 1888 Jackowski Józef
Jacyno Wacław, 1912 z żoną Jacyno Bolesł.
Jakubowicz Bogdan, 1897, s. Jakuba i Marii Antoniewicz Janina
Jakubowska Aldona, Karol, lat 18, Zdzisław, lat 17 Jakubowski Tadeusz
Jakubowska Stanisława z d. Taranek i Andrzej Jakubowski Józef
Janicka Zofia, 1925, c. Wacława i Zofii Nowicki Edmund
Janicki Wawrzyniec, 1897 Janicka Jadwiga
Janik Wiktor, 1925 Janik Ludwik
Jankowska Gertruda, 1922, Brześć n.B., Adam, 1927, Toruń, Stanisław, 1924 Jankowski Edward
Jankowska Stefania z d. Krajewska, 1920 Jankowski Stanisław
Janowska Urszula z rodziną Stengert Andrz.
Janowski Franc., 1913 Janowski Kazim.
Jarmołowicz Piotr, 1911, s. Stefana i Anny Jarmołowicz Aleks.
Jarosz Stanisław, lat ok. 55, Bronisław, lat ok. 50 Jarosz Andrzej

Dla: Od:

Jarząbek Daniela, 1932, Jan, 1923, Tadeusz, 1926 Jarząbek Stefan
Jasiewicz Leon, 1916 Jasiewicz Lucjan
Jasiński Eugeniusz, 1908 (?) Rożewski Wacł.
Jaworski Edward, 1914, Feliks-Filip, 1907, Helena, 1922 Jaworski Stanisł.
Jaworski Mieczysław, 1910 Bakuła Halina i Jaworska Jadwiga
Jelinowicz Regina, 1904, Tola lub Tauba
1909, Sura-Mala, 1884 (?) Jelinowicz Elkane
Jenicz Stefan, 18.V 26 Jenicz Andrzej
Jędrysiak, 18.6. 1884, Franc., 18.X. 18 Jędrysiak Jan
Jędrysiak, z d. Krzak, 24.2 1886 „
Jędrysiak z d. Mojka 1907 z dzieckiem „
Juchacz Franc., 1922, Jan 1908 Juchacz Wiesław

KALINKA Zdzisław - Marian, 1926, s. Michała i Bronisławy Kalinka Krystyna
Kałuszyner Jakub, 1895 r. Łódź Kałuszyner Stefan
Kamiński Jan, 1904, pow. Starogard Kamiński Edmund
Kamiński Józef, 1913 z Augustowa Kamiński Antoni
Kamiński Józef, 1915, Karol, 1921, Tadeusz, 1925 Kamiński Jan
Kamiński Józef, 1892, s. Stanisława, Płock Ruchała Wacław
Kamiński Stanisław, 1920, s. Antoniego Mirgałowski Zbigniew
Kamoda Jan, 1886 Kamoda Anna
Zofii
Kański Adam, 1920, Adela, 1914 z s. Kański Jerzy
Jackiem, l. 6, Jan, 1911 Siminski Stefan
Kapała Antoni, 1898 Kaplita Władysł.
Kaplita Eleonora, 1915 Kaplita Władysł.
Karniewicz Alfons, 1911-12, Baltazar, 1904-5, Kazimierz, Franciszek, Aleks. Karniewicz Karol
Kasprzyk Halina, 1932, Bydgoszcz, Kasprzyk Jan
Stanisław, 1892
Kazimierczak Władysław, 1896 Kazimierczak Zygmunt
Kaźmierczak Anna z Głównia k. Łowicza Kowalski Eugeniusz
Keller Franc., 1924, s. Antoniego Keller Ant.
Kerszman Adolf, 1893 Lachman Feliks
Kędiora Franc., 1894, Kurów Kędziora Wład.
Kiczka Tomasz, Irena, 1925, Piekary Płużnicki Tomasz
Śląskie
Kijewski Roman, 1918, Waleria, Kłodawa, Poznańskie i narzeczona poszukiwanego Kijewski Stan.
Danusia
Klecha Bolesł., 1912, Pomorze Klecha Jerzy
Klein Antoni, 1919 Mały Stanisław
Kleniewska Halina, 1922 Olewicz Rudolf
Klikowicz Antoni, 1889 Klikowicz Wanda
Klose Anna, Siemianowice Wiora Jerzy
Kluczkowski Zygfryd, 1926 Kluczkowski Kazimierz
Klugman Stanisław Klugman Bolesław
Klusik Stanisław i Stanisława, Jabłonowo Kuśnierczyk Mieczysław
Kławsiuć Bolesł., Deresno Kławsiuć Miecz.
Kłączyński Bernard, 1918, Jan, 1918, Pomorze Kłączyński Franc.
Kłos-Nowak Zdzisława-Maria-Antonina, mgr. farm., 1912 Nowak Telesfor
Knauer Antoni z c. Anną, Erik, Antoni, Jadwiga z d. Kuczaty, Reginald ks. Knauer Jerzy
Kniaziowski Wojciech, Lubelskie Kniaziowski Wład.
Kobus Antoni Kobus Leon
Kobylakowa-Kwiatkowska Helena, 1885 Nagórski Stanisław
Kobylańska Aniela, 1914 Kobylański Ant.
Kocek Ludwik, Katowice Kocek Bolesław
Kochanowski Stanisław, 1897 Kochanowska Antonina
Kocięcka Janina Kocięcki Andrzej

Dla: Od:

Kocikowski Apolinary, Pomorze Langiewicz Benedykt
Koczan Wacława, c. Zofia Jankowski Łucj.
Kohne Teresa, 1923 Engel Wilhelm
Kolberg Oskar Jonscher Andrzej
Kołodziejczyk Jerzy, s. Jana i Reginy Świętek Jerzy
Kołodziejska Bronisława, 1897, Alina, Anna, 1926, Ryszard, 1923, Artur, 1937 Kołodziejski Wincenty
Kołodziejski Szczepan, Rypin Buczkowski Jerzy
Komorowska Irena-Halina, 1927, Jadwiga, 1909 z c. Teresą, 1929 Komorowski Jan
Komorowski Ireneusz, 1905 Kaliński Józef
Komorowski Józef, 1928, s. Tomasza Komorowski Tomasz
Konałówna Eugenia, lat 31, Łódź Kowalczyk Józef
Konarzewski Zygmunt, 1920 Trafisz Jerzy
Konieczko Stefan Krachelski Marian
Konkolewski Kazimierz, 1923, Ludwika, 1925, Grudziądz Jakubowski Henryk
Konopko Katarzyna, 1911 z d. Troczków Troczko Bolesław
Kończak Stanisław Bank P. K. O. Tel-Aviv
Kosińska Maria z d. Bańkowska Połytyńska M. Stanisława
Kostrzewski Wacław Kostrzewski Józef
Kowalska Anna z d. Gabor z s. Józefem Gabor Anna
Kowalski Zbigniew - Władysław, 1921, Warszawa, s. Natalii i Wład. Kowalscy Natalia i Wład.
Kozak Franciszek, 1915 Kozak Maria
Kozłowska Elżbieta Kulesza Teofila
Kozłowska Maria Kapłon Józef
Krajewski Jan, 1928, Wład. 1927 Krajewski Piotr
Kretz Leopold, 1902, Lwów Wisznowitz Rudolf
Krowicka Jadwiga Ginilewicz Stefan
Kubla Maria, lat 39 Sendej Piotr
Kublicki Jan, 1887, s. Adama Kublicki Jan
Kulik Leon, 1926 Kulik Henryk
Kulisz Józefa, 1932, Zbigniew, 1936, Zofia, 1913, Andrzej 1940 Kulisz Michał
Kulka Piotr, 1895 Kulka Edward
Kulling Feliks, 1904 Markowski Feliks
Kunow Władysław, 1907 Jabłoński Stan.
Kurowska Regina, 1911 Kurowski Piotr
Kuryłowicz Leon Ciechanowicz Irena
Kurz Szymon Stebno Adolf
Kwapiszewski Leszek Jaszczołt Zbigniew
Kwiatkowska Jadwiga z d. Liebich Skowronek Józef
Kwieciński Jerzy-Ryszard, 1907 Pucułek Bernard

LABUDA Maria i Anna, Gdynia Labuda Art.
Lachowicz Janina z d. Katańska, W.-wa, Zofia, Gizela Lachowicz Zygmunt
Ladra Władysław, 1910 brat Roman
Lamza Ernest, 1925, Śląsk Lamza Jerzy
Landowski Jan Landowski Leon
Lanko Majkowski Lutyk
Laskowska Joanna Laskowski Stanisław
Lauda Stefania, 1914 z d. Szönfeld z 4 dzieci Lauda Franciszek
Leitner Józef Klimczak Stanisław
Leja Stanisława, 1923, c. Stanisława i Anny Leja Anna
Lejrer Helena, pow. Katowice Kurski Aloj.
Lenart Bogusław-Kazim. 1926, Teresa, 1930, Klepacze Lenart Kazim.
Lengowska Elżbieta Lengowski Stefan
Leonczuk Mikołaj, 1911, s. Prokopa i Marii Leończuk Andrzej
Lesińska Romana Lesiński Bolesław
Leszkowicz Julian, lat 39, s. Kazimierza i Katarzyny, Piotr, lat 39, s. Andrzeja i Urszuli Leszkowicz Adam

Osoby, które odnajdą swe nazwiska w niniejszym Wykazie Nr 17 (Cz. I), zechcą zwrócić się listownie do Centrali Poszukiwań (Polish Forces Middle East 55), posługując się następującym wzorem pisma (można wyciąć, wypełnić i przesłać)

Do CENTRALI POSZUKIWAŃ PCK NA ŚR. WSCH.

Polish Forces M. E. 55

1. W Wykazie Nr 17 (Cz. I) Centrali Poszukiwań PCK, ogłoszonym w Nr 26 (70) „Parady", figuruje wiadomość, przeznaczona: (wypełniać literami drukowanymi)

dla .....

od .....

2. Proszę o przysłanie omawianej wiadomości pod moim adresem:

Moje nazwisko i imię .....

Rok urodz. ..... Imiona rodziców .....

Mój adres .....

3. Jeżeli okaże się, że przesłana mi wiadomość mnie nie dotyczy, zobowiązuję się zwrócić ją do Centrali Poszukiwań PCK.
4. Załączam Postal Order wystawiony na imię: „Centrala Poszukiwań PCK" w wysokości ..... sh (szylingów) tytułem dobrowolnej ofiary na rzecz akcji poszukiwań PCK.

Data ..... Podpis .....

Tłoczono w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Inter-Service Publications D-ta, G.H.Q., M.E.
Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Inter-Service Publications D-ta, G.H.Q., M.E.

Adres Redakcji: „PARADA" Inter-Service Publications D-ta G.H.Q., M.E.
Editorial address: "PARADA" Inter-Service Publications D-ta G.H.Q., M.E.

WIGILIA PRZEDWOJENNEJ WARSZAWY

Kryształowe okruszyny śniegu rozbitym szkliwem pokrywają ulice. W kręgu srebrnych aureoli, mleczne kule łukowych lamp rozwidniają wczesną szarość zimowego zmierzchu. Drewnianymi szuflami na długich drągach, niczym łopaty piekarza, tramwajarze w brunatnych płaszczach z kapiszonami zbierają mąkę śniegu rozsypanego na szynach. Na Placu Trzech Krzyży wyrósł wyczarowany nagle zielony zagajnik pachnących choin. W roziskrzonych wystawach sklepów błyszczą wielobarwne cacka: srebrne szyszki, złote bomby, kolorowe świeczki, Święty Mikołaj z waty i tekturowe aniołki. Przy zbiegu Alej i Nowego Świata na szczycie Banku Gospodarstwa Krajowego, lśni błękitny samolot unosząc się w neonowym pierścieniu ponad wezwaniem: „Podróżuj Lotem". Z krawędzi przeciwnego dachu rwie się do skoku fioletowy jeleń reklamy mydeł.

Na piętrze metalowej wieżyczki, policjant dzwonkami sygnałów dyryguje koncertem Warszawy, spieszącej ku Wigilijnej Wieczerzy.

W sklepach z winem i bakaliami — ścisk i tłok, w cukierniach — torty wyprzedane. Ulice uginają się pod ciężarem ciżby obładowanej paczkami.

„Najlepszy zimny ogień tylko tutaj!
Nie ambaras—kupić zaraz
Jutro po obiedzie—już go nie będzie"!

Wołają sprzedawcy szarych pręcików strzelających snopem złotych iskier.

Nie mniej poetyczni są właściciele ruchomych księgarń, zawartych w koszu od bielizny:

„Bajki, bajeczki
Dla synka i córeczki!
Kto nie kupi,
Ten jest głupi!

Brać i wybrać za jedne dwadzieścia groszy, co w koszu — to na wybór!" — Brzmi dosłownie krzykliwa reklama.

Z równym zapałem ogłaszają się przekupnie nakręcanych zabawek, z których każda: „Nie je, nie pije — a chodzi żyje". Opodal ofiarują „prawdziwe armeńskie kadzidło", „higieniczne lusterka kieszonkowe", lub zachrypłymi od krzyku, czy z przepicia, głosami zapraszają: „Do mandarynek! Do mandarynek! Prawdziwe katańskie, pięć za złoty!" Jeszcze inni w przytupie zmarzniętych stóp drepczą w miejscu ściskając długie kije z rwącym się w przestworza bukietem barwnych balonów.

Są to ostatnie chwile przedświątecznej gorączki, zanim ludzie przyjdą do swych mieszkań... spóźnione tramwaje skryją się w zajezdniach... ulice opustoszeją... na niebie zapłonie pierwsza gwiazda i Warszawa pogrąży się w głęboką toń wzruszającej ciszy Świąt Bożego Narodzenia.

Dźwięczy Noc Wigilijna prostotą śpiewanych kolęd, szczerością serdecznych życzeń, szczęściem w dziecięcych oczach z gwiazdkowych podarków.

Najpiękniejsze ze wszystkich w świecie świąt — Polskie Boże Narodzenie śmiga, jak strzelił z bicza. Niefrasobliwa, jak zwykle, Warszawa poprzez łzę radosnego rozrzewnienia śmieje się z sobie tylko właściwym humorem. U klasycznego pana Piecyka na Targówku, Święta rokrocznie udają się wyśmienicie. Najlepszym tego dowodem, że Pogotowie Ratunkowe obraca tam i z powrotem co najmniej z dziesięć razy, odwożąc gości do szpitala Dzieciątka Jezus lepiej, niż taksówki do domów.

Za opuszczonymi żaluzjami tego, czy innnego sklepu wiktuałów, dowcipni włamywacze urządzali sobie fantastyczną libację. Jedli, pili lepiej, niżli ktokolwiek inny w mieście i wychodzili, pozostawiając kartkę z uprzejmym podziękowaniem za gościnę i życzeniami Wesołych Świąt.

Pensjonarki i sztubacy w beztrosce zimowych wakacyj, aż po Trzech Króli, zawzięcie ślizgali się na lodowiskach w takt tanecznych melodyj, płynących z wysokich megafonów. Dworzec kolejowy, najeżony pikami nart, wysyłał długie pociągi do Krynicy i Zakopanego. Wypełnione po brzegi teatry i kina grały farsy i komedie. Stolica — serce Polski tętniła pełnią życia w radosnym oczekiwaniu Nowego Roku.

Taką byłaś niegdyś Warszawo: wiecznie młoda, szczęśliwa, roześmiana, najdroższa... dziś — Warszawo w gruzach, Warszawo w krwi...

TADEUSZ WITTLIN

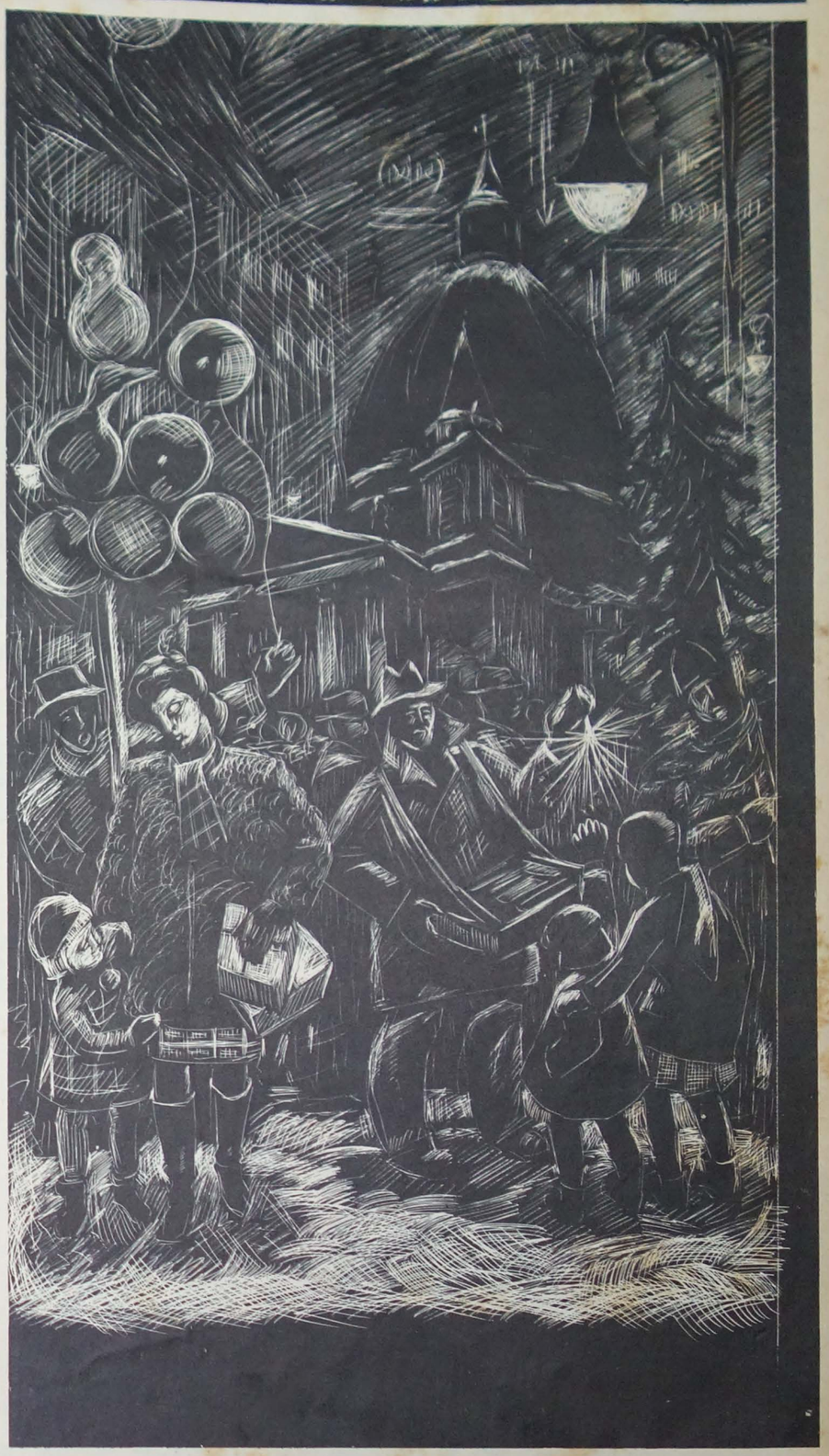

EX LIBRIS
N. I T. DĄBROWSKICH

W CHWILI GDY NINIEJSZY NUMER „PARADY" BYŁ JUZ WYDRUKOWANY – DOSZŁA NAS WIEŚĆ O TRAGICZNEJ ŚMIERCI NACZELNEGO WODZA GENERAŁA BRONI WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO I TOWARZYSZĄCYCH MU OSÓB. GENERAŁ SIKORSKI ZGINĄŁ W KATASTROFIE LOTNICZEJ PODCZAS PODRÓŻY SŁUŻBOWEJ. PADŁ NA POSTERUNKU JAK ŻOŁNIERZ W SŁUŻBIE DLA PAŃSTWA I NARODU. PAMIĘĆ TRAGICZNIE ZMARŁEGO NACZELNEGO WODZA STANIE SIĘ DLA NAS WSZYSTKICH BODŹCEM DO JESZCZE BARDZIEJ WYTĘŻONEJ PRACY W WYPEŁNIENIU ZADANIA, KTÓREMU GENERAŁ SIKORSKI POŚWIĘCIŁ SWE ŻYCIE. WSZYSCY POLACY CHYLĄ CZOŁA PRZED TRUMNĄ WIELKIEGO ŻOŁNIERZA I MĘŻA STANU.

KAIR, 5 LIPCA 1943 ROKU